

Marcin Pałowski

ZIMA MEJ DUSZY

Fabryka Słów
Asy Polskiej Fantastyki
Lublin 2011

COPYRIGHT © BY Marcin Pałowski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2011

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-364-7

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta
PROJEKT OKŁADKI Magdalena Zawadzka
GRAFIKA NA OKŁADCE Tomasz Jędruszek
REDAKCJA Dorota Pacyńska
KOREKTA Magdalena Grela-Tokarczyk, Bogusław Byrski
SKŁAD Dariusz Haponiuk

CENA ULUDY

Obcy w Lutnej

Wysiadł z powozu przez Koronę i Smokiem, zajazdem zacnego Giovanniego. Wzbudził niemałe zaciekawienie zgromadzonych gapiów już w momencie, kiedy odziana w delikatną pończochę i but z drogiej skóry stopa dotknęła kamieni podjazdu. Nieznajomy słusznego wzrostu, choć nieco kościsty, odziany był bogato w eleganckie nogawice i zdobiony surdut, spod którego wystawały koronkowe mankiety koszuli i rapier. Na niesamowicie długich palcach pyszniły się drogie pierścienie, połyskując szlachetnymi kamieniami. Z nakreślonej ostro twarzy stalowoszare oczy mierzyły badawczo otoczenie, a pośród związanych podle mody w harcap włosów, bystry obserwator od razu mógł dostrzec siwe pasmo. Co odważniejsi mawiali potem, że jegomość wcale nie miał siwych włosów tylko diable rogi, nikt jednak nie śmiał traktować tych wypowiedzi serio. Chociaż znaleźli się i tacy, którzy przysięgali, że gdy przechodził załatywało od niego ostro siarką.

Uwagę wszystkich przykuł też staroświecki miecz, z rodzaju tych, którymi posługiwali się pradziadowie, przytroczony do przewieszzonego przez ramię pasa. Mało kto zwrócił uwagę na ciężką skórzaną torbę, dźwiganą w drugiej ręce, ale jeśli już był na tyle spostrzegawczy, szeptał później lękliwie, że pokrywał ją szron, choć dzień był wcale upalny. Jak na sam koniec wiosny ma się rozumieć. A tegoroczna wiosna, trzeba przyznać, była wyjątkowo ciepła, zwłaszcza tu, na przedgórzu. I nie szpeciły jej nawet ciągnące w stronę gór deszcze, dzięki którym wszystko rosło i zieleniło się niemal w oczach.

Nieznajomy powiódł wokół wzrokiem, jakiego nie powstydzilby się bogaty dzierzawca lustrujący swe włości, po czym wolno pokonał kamienne stopnie dzielące go od wrót gospody. Zdało się, że cały świat znów ruszył z miejsca, kiedy drzwi z ciężkim stęknieniem zamknęły się za nim. Gwar ponownie wypełnił główny plac przed zajazdem, będący zarazem rynkiem miasteczka.

Wnętrze karczmy prezentowało się nader przyzwoicie. Było to bodaj ostatnie miejsce, oferujące nocleg na pogórzu, przyznać jednak trzeba, że obite dębowymi boazeriami i pokryte tapetami ściany w połączeniu ze schludnie utrzymanymi stolami i kuszącymi zapachami z kuchni, poprawiały mniemanie o Lutnej. Ta przecież zdawała się miejscem na odległych krańcach świata.

Przybysz minął wiszące na ścianach poroża i skierował się do obszernego alkierza nieopodal szynkwasu. Ani razu nie obejrzał się ni to na karczmarza, ni na ciekawskich gości. Rozsiadł się wygodnie na wyścielonej aksamitnymi poduszkami ławie, torbę postawił za stołem, zaś zabytkowy oręż wsparł o rzeźbioną boazerię. Poruszył ramionami, aż coś chrupnęło mu gdzieś w plecach, poprawił koronkowe mankiety, po czym splótł dłonie na blacie i dopiero spojrzał wyczekująco w stronę oniemiałego gospodarza. Ten najwyraźniej w życiu widział już niejedno, gościł wszak w ciągu swej nieomal czterdziestoletniej kariery różne osoby, toteż w lot pojął, że nie ma się nad czym zbytnio zastanawiać i szturechnął stojącą obok dziewczkę łokciem. Dziewczyna również nie w ciemię bita, ruszyła szybkim krokiem, po drodze chwytając pokaźny gąsiorek i przystający do niego pojemnością kielich, co już ostatecznie polepszyło mniemanie gościa na temat mieszkańców Lutnej.

– Jadę do Trzech Dębów – usłyszała, kiedy napełniała puchar winem – miał tu ktoś na mnie oczekiwać...

Szynkarka zamarła niczym jedna z wieńczących bazylikę w Teselos figur, obrazujących przedstawicieli różnych stanów.

– To nie jest dobre miejsce, wielmożny panie – rzekła, ścisząc głos – gnieździ się tam zło. – Widząc uniesione brwi dodała: – Nikt tu nie lubi wieśniaków z Trzech Dębów, ani tym bardziej ze Służnik. Lepiej trzymajcie się od tego z daleka...

Przybysz spokojnie wyjął kielich z drżących palców dziewczyny i bez pośpiechu opróżnił go do połowy.

– Nie pytałem o opinię panny na jakikolwiek temat – podjął, otarłszy usta upierścienioną dłonią – a o sługę, który miał mnie tu oczekiwać. To miasto zowie się Lutna, tak? To jest zajazd Korona i Smok, czyż nie? – gdy skinęła dwukrotnie głową kontynuował: – Tedy jeśli dziś jest siedemnasty

dzień czerwca, a wszystko na to wskazuje, oczekiwać miał mnie tutaj ktoś wysłany przez ojca Chryzanta z Trzech Dębów. Waćpannie zaś płacić zamierzam za strawę i napitek oraz trzymanie ust zamkniętych, nie zaś za wyrażanie wątpliwych opinii o czymkolwiek. Od was oczekuję jedynie krótkich a treściwych odpowiedzi, komentarze do nich sam sobie dopiszę, jak to zwykłem czynić. Pojęłaś, mościa panno?

– Hola! A wyście kto, że rządzą się jak sam biskup?! – zagrmiał ktoś za plecami dziewczyny, z okolic najbliższego szynkwasowi stołu, stałego miejsca szukających zwady hultajów, bandy wałkoni wywodzących się jednak z na tyle bogatych rodzin, iż mogli sobie pozwolić na trunki Giovanniego, zamiast wysilać kulasy w drodze do spelunki przy rozdrożach, poza resztkami murów obronnych. – Zaraz was tu nauczymy pokory i powstrzymamy cięty jęzor!

Przybysz stanowczo odsunął szynkarkę na bok. Zlustrował kipiącego piwną wściekłością młodzieńca stojącego pośród barwnej kompanii, wianuszkami otaczającej suto zastawiony kuflami i antałkami stół, po czym, jakby nic się nie wydarzyło, spokojnie kontynuował:

– Oczekuję tedy mnie tu ktokolwiek, czy też sam mam drogi do Trzech Dębów szukać? – ton głosu miał lodowaty nieomal jak błękit jego oczu, twarz opanowaną, podobną pośmiertnej masce.

– Ja wam zaraz pokazę drogę na to zadupie! – wycharczał łamiącym się z wściekłości głosem krzykacz, ruszając ku alkierzowi. Nie mógł znieść despektu ze strony aroganckiego gościa, zwłaszcza, że był w towarzystwie dopingujących go, podchmielonych kompanów. – A nawet dalej – warknął, szarpiąc stojącą mu na drodze dziewczynę – na tamten świat, prosto w objęcia księcia demonów!

– Nie czynicie tu gwałtu! – zaryczał właściciel gospody przekrzykując nawet dziewczkę, która potrącona zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy.

Zaszurało kilka krzesel, po podłodze potoczył się jakiś przewrócony antałek czy miska, ktoś zaklął parszywie. Jedynie Giovanni, choć nikczemnej postury, i jego pomocnica widzieli sztylet, który pojawił się w dłoni nieznanego. Sztylet mierzący w żywot gwałtownika, tuż poniżej sprzączki pasa.

– Ciebie, młodzieńcze, nie brałbym za przewodnika nawet po chlewie – choć mężczyzna mówił cicho, wszyscy usłyszeli go wyraźnie. – Dam ci jednak dobrą radę. Niemniej uczynię to jeden, jedyny raz. Zabierz teraz stąd swoją parszywą gębę i wynocha z gospody, skoro pomiędzy porządnymi ludźmi zachować się nie potrafisz. – Młodzian poczuł mocniejszy nacisk ostrza. – Drugiej rady już nie usłyszysz. Won!

Rozkaz został poparty szczękiem odciąganego kurka półhaka, który pojawił się w drugiej dłoni przybysza.

Chcąc nie chcąc, zapalczywy młodzian wycofał się rakiem w stronę kamratów. Przywitały go krzywe uśmieški, na które odpowiedział siarczystym przekleństwem, po czym opuścił gospodę, pochwycając pierwej kapelusz. Chwilę potem ruszyło za nim kilku spośród rozbawionych towarzyszy.

– Wybaczcie, panie! – Załamał ręce gospodarz. – Takie nieszczęście w moim przybytku! Gości mi obrażać, któż to widział takie rzeczy? Czy ja dobrze słyszałem? Do Trzech Dębów się wybieracie, waszeć? Musicie być tedy, mości...

– Hedaard... – uciał gość, chowając sztylet gdzieś pod surdudem. Po półhaku nie było już śladu, zniknął, jak ulotny sen.

– Że też od razu się nie domyśliłem, wasza świętobliwość – Giovanni szturchnął stojącą nadal z boku dziewczuchę, aż zamknęła usta, tym razem rozdziawione w zdumieniu. – Leć no na jednej nodze po Semka! Ale już! – Zwracając się zaś ponownie do gościa, tak się w pas kłaniał, że omal nie rozbił czoła o stół. – Oczekiwaliśmy waszej świętobliwości, jak tylko list od wielbnego ojca biskupa przyszedł do ojca Chryzanta, takż z instrukcją dla nas – wypiął krągłą pierś dumnie, wyraźnie rad, iż nawet tak znaczna w hierarchii kościelnej osoba pamiętała o jego przybytku – coby was ugościć isticie po królewsku. Jakież zatem życzenie waszej świętobliwości? Co podać?

– A co tam polecicie, dobry człowieku?

– Nie chwałąc się, na cały powiat Korona i Smok znana jest z raków z czosnkiem w winnym sosie. Bigos zacny też mi dopiero co wyszedł, na dziczyźnie upichcony, ma się rozumieć. Do tego placek po lutneńsku, a jakby i tego mało było to Marianna, moja małżonka się znaczy, nalepiła rankiem wyśmienitych pierogów. Palce lizać. A skoro o pierogach, to polecę także szynkę z grzybami i ostrymi papryczkami zapiekane w cieście jak pieróg, suto przyprawione lebiodką...

– Dajcie ten wasz placek – przerwał Hedaard nieco niecierpliwie.

– Służę, wasza miłość – karczmarz ponownie zgiął się w pół. – A cóż do picia? Pozwolę sobie zauważyć, że mam ja w piwniczce beczkę znakomitego czerwonego wina, aż z Olvarien. Znajdzie się też zacne białe, jeśli wasza świątobliwość za takim przepada, z winnic samego arcyprałata pod Altheimburgiem. Tanie nie jest, ale miałem po królewsku...

Gość gwałtownie uniósł rękę.

– Obejdzie się. Nie po to pół świata jadę, by ciągle to samo pić – skwitował, skutecznie chłodząc zapal Giovanniego. – Słyszałem, że okolice te znane są z miodu, prawda li to? Rzekomo, nie masz miodu lepszego nad ten z Ostrogskich Wzgórz. Należcie tedy mi tu najprzedniejszego, jaki macie.

– Mamy i miód – ucieszył się szynkarz. Wytarł spocone dłonie w lnianą ścierkę, z którą najwyraźniej się nie rozstawał. – A pośród nich i najlepsze z, tfu, tfu, Trzech Dębów...

– A co wy tak wszyscy na to sioło plwacie?

– A bo widzicie, wasza łaskawość, przekłete to miejsce. Złe i niedobre. Gdyby nie miód, który stamtąd najprzedniejszy, a pośród niego lipowy, dawno już by się okoliczni skrzyknęli, poszli i puścili wiochę z dymem...!

– A co z jej właścicielami? Myślicie, że pozwoliliby dobra swoje z dymem puścić?

Tu karczmarz wyraźnie pobałdł, chrząknął, a potem odpowiedział ciszej.

– Do Trzech Dębów idźcie bez obawy. Sługa boży nie ma się czego obawiać. Ale rodu Reczów i wioski Służniki się wystrzegajcie! Tam was nikt za żadne skarby nie zaprowadzi! O ile Trzy Dęby to niedobre miejsce ledwie, gdzie boże stadło zapuszczać się nie powinno, o tyle zapuszczenie się za Wilczy Wierch i dalej, do Kasztelu Reczów, to pewna śmierć! I nie tylko grzesznego ciała, o nie! Śmierć dla waszej duszy nieśmiertelnej! – Przeżegnał się, czyniąc święty X na piersi.

Hedaard pochylił się ponad stołem.

– A jak sądzicie, karczmarzu – rzekł mrużąc oczy; Giovanni przysięgał później, że uśmiechał się przy tych słowach niczym pogański demon, nie potrafiłby jednak powiedzieć, jak uśmiechają się pogańskie demony, ani skąd posiada wiedzę na ich temat – w jakim celu się tam wybieram?

– Jedynemu niech będą dzięki! – zakrzyknął gorliwie gospodarz, błyskawicznie wyciągając właściwe wnioski. – Wreszcie złym mocom kres nadejdzie!

– Swoją drogą, szynkarzu, powiedzcie mi, jak to jest? Mówicie, że zło tam drzemie, a nie przeszkadza wam to handlować ich miodem, ba, zachwalać jako najlepszy? A i słyszałem, że więcej stamtąd rzeczy na handel bierzecie. Jakby tak się dobrze przyjrzeć...

– Wszystko to są dary od Pana – odparł Giovanni spieszenie – a jako takich, jak wiadomo, zły skalać nie może. Czyż to nie Lukrecjasza z Uroku, świątobliwego mnicha, Pan natchnął, że ten po raz pierwszy miód wysycił? Zaiste ku chwale bożej to uczynił i za boskim życzeniem!

Hedaard chwilę podumał, przyglądając się nalanej twarzy karczmarza. Przyznać musiał, że sprytu mu nie brakło.

– No dobrze – płaśnął dłonią w stół – dajcie mi tedy co rychło tego natchnionego trunku, a potem jadła. Zdaje mi się, że ostatni raz w Vesaar jadłem, tak głodny jestem.

Zaraz rzeczywiście pojawił się na stole antałek miodu, co tu dużo gadać, wyśmienitego w smaku, z mistrzowskim wyczuciem zaprawionego korzeniami. A gdy Hedaard w oczekiwaniu na strawę zastanawiał się nad kunsztem nieznanego mistrza-syciciela, do alkierza wszedł kilkunastoletni chłopak, w onieśmieleniu stanął w progu, mnąc w dłoniach kapelusz. Skarcony przez pomocniczkę karczmarza wśliznął się do alkierza, obdarzając przy tym gościa płochliwym spojrzeniem spod strzechy włosów słomianej barwy.

– Jak cię zwą? – Lodowate spojrzenie omal nie przewierciło chłopca.

– Semko, wasza wielmożność...

– Siadaj, Semko. – Dłoń okolona misternie tkanymi, śnieżnobiałymi koronkami wskazała miejsce po przeciwnej stronie stołu. – Mam nadzieję, żeś niegłupi, bo choć służba u mnie do ciężkich nie należy, nie lubię dwa razy powtarzać tego samego. W ogóle nie lubię strzępić jęzora po próżnicy. Odzywać się możesz niepytany, ale bacz, by to, co powiesz, miało znaczenie, bowiem błahostkami nie lubię sobie głowy zawracać. Pojąłeś?

Odpowiedzią było wpięcie skóry głowy, zaraz jednak śmielej poparte słowami „Tak, panie” – przecież pana, który zaprasza do swego stołu nawet nikczemnego sługę, obawiać się zbytnio nie ma potrzeby. Jeśli, ma się rozumieć, będzie się co do joty wypełniać jego polecenia, a tak też właśnie wyrostek zamierzał czynić, mając na tyle rozsądku, aby w lot rozpoznać, gdzie konfitury stoją.

W tym momencie pojawił się właściciel Korony i Smoka z nie byle jakim, bo srebrnym nakryciem. Rozłożył je przed gościem, po czym pstryknął kilka razy nerwowo, wychylając się z alkierza. Jak za magicznym zaklęciem, w jego dłoni pojawił się spory półmisek pachnący tak wyśmienicie, iż Hedaard zawczasu powziął decyzję, aby zaraz zamówić coś jeszcze, a że nie był człkiem skąpym, czy też zbyt wywyższającym się ponad przynależny mu stan, wskazał karczmarzowi Semka wiercącego się na ławie naprzeciw.

– Chłopakowi też podajcie, dobrodzieju – rozkazał, nakładając sobie solidną porcję, którą polał obficie sosem. – I szykujcie już raki, zamiast tu stać po próżnicy.

Gospodarz nie okazał zdziwienia, zamrugał tylko kilkukrotnie, po czym zniknął, by wrócić z nakryciem dla chłopca. Trzeba przyznać, że szelma był szybki równie w myśli jak i w czynie, bo gdy placek zniknął z półmiska, nie trzeba było dwa razy powtarzać, a pojawiły się pierogi, za nimi wspomniane raki, potem bigos, wreszcie na deser orzechowe ciastka na miodzie. Hedaard w międzyczasie zaś konwersował z chłopcem, bowiem pochłonięcie takiej fury jadła, nawet we dwóch nie zajęło tylko chwili. Zwłaszcza, że choć głodny prawdziwie, nie zapomniał o manierach, zręcznie operując sztuccami.

– Powiedz mi, Semko – zagał po pierwszym kęsie placka po lutneńsku – od dawna służysz u ojca Chryzanta?

– Trzy roki już będzie, jaśnie wielmożny panie – odparł chłopak wcale udatnie posługując się nożem i widelcem.

– A ile wiosen sobie liczysz?

– Szesnaście... Siedemnaście będzie tej jesieni. – Widząc zainteresowanie w oczach swego nowego pana, Semko kontynuował: – Pan ojciec oddali mnie na służbę kościołowi, bom trzecim synem, a ziemi dzielić nie lza. Bygost, mój najstarszy brat, dziedzicem zostanie, Falibor poszedł na służbę w wojsku pana Wratysława, księcia ostrogskiego, mi tedy służenie kościołowi pozostało. A że za młody jestem, by święcenia przyjmować, wpieryw mam odsłużyć swoje u jakowego wielebnego. Tak też trafiłem do ojca Chryzanta, którego to jest kuzynem Przeclawa, męża Młady, siostry mojej matki.

– Zatem nie pochodzisz stąd, nadto szlachcic z ciebie i to, ho, ho, wysoko urodzony.

Młodzik polechtany mile, skinął głową.

– Nie stąd, ale okolicę znam dobrze i gdzie tylko zechcesz, panie, tam zaprowadzę!

– A do Służnik i siedziby rodu Retzów?

Nazwy owe widać musiały robić wrażenie nawet na kimś, kto nie wychował się w cieniu miejscowych zabobonów, bo Semko pobladł wyraźnie, upuszczając nóż. Przez chwilę słychać było tylko dudy i skrzypce przygrywające jakąś skoczną melodię, wreszcie chłopak wziął się w garść.

– Nawet do leża samego Velsa, jeśli tam trafię...

– Nie lękasz się tedy zła drzemiącego, jak tu wszyscy paplają, pośród gór?

– Nie widziałem niczego strasznego w Służnikach, jeno dziwne...

Hedaard wstrzymał widelec z nabitym pierogiem w połowie drogi do ust.

– Dziwne?

– Ano, panie. Nie da się opisać tego słowami. Chłopi ze Służnik są po prostu... dziwni.

– Spróbuj tę dziwność jakoś w słowa ubrać.

– Obcych nie lubią, mrukliwi są strasznie i jako te psy wierni pani Retz.

– W tym nic specjalnie dziwnego jeszcze bym nie upatrywał.

Chłopak zafrasował się, bo wyraźnie nie był w stanie wyrazić myśli, jakie kłębiły się w jego głowie. Potarł skropiony obficie piegami nos.

– Oni jakoś tak... inaczej wyglądają.

– To ci dopiero! – parsknął Hedaard. – A jak?

– Jakby wszyscy byli na coś chorzy.

– Chorzy? I to cię przeraża?

– Nnnie... W Służnikach raz tylko byłem, ale do końca życia będzie mi się śnić to miejsce. Sami obaczycie, panie, sióło niby jakich wiele, ale coś w nim złego się czai. To wisi w powietrzu, że ciężko odetchnąć i ciągle jakoby kto się w plecy wpatrywał... łakomie. Kasztel jeno z daleka widziałem. Cicho tam było jak w grobie. Nawet ptak nie pisał, ni liść nie zadrzał, tom się nie odważył bliżej niż na wiorstę podejść.

– No, no, toś mnie zaciekawiał, Semko. – Hedaard nalał miodu do pustego kielicha i przesunął go stole. – Napij się, waszmość, i pałaszuj dalej, bo zbierać się nam niedługo pora.

Ale nim się zebrali mięła prawie godzina. Karczmarz donosił kolejne półmiski i antałki, które żał było na stole zostawić, nie skosztowawszy przynajmniej, tedy zmitrężyli aż słońce przebyło pół drogi z zenitu. Wszelako gdy zebrali się wreszcie od stołu nie było im dane pożegnać się z gościnnością Lutnej od razu.

*

Młodzian o urażonej, nadętej niczym balon, dumie czekał wraz z pięcioma kompanami w jednej z bocznych ulic. Wypadł na placyk za oberżą, gdy Semko wciąż siodłał konie, jego pan zaś, ulżywszy pierwszej pęcherzowi, zmierzał ku stajni, pogwizdując cicho. Chrząst oręża i przekleństwa przerwały kontemplację krytych gontem dachów. Hedaard odetchnął głębiej, zmrużył oczy.

– Widzę, młodzieńcze, że należysz do tych, którym dobrzy ojcowie scholastycy musieli kilkakroć na lekcjach powtarzać – rzekł, odstawiając swą torbę na ławę koło wrót rozwartych niczym usta koniucha, a widząc brak zrozumienia w wypełnionych nienawiścią oczach dodał: – Rzekłem, że raz tylko porady ci udzielę. Nie skorzystasz, tedy bez pociechy duchowej na łono Jedyne go cię pošlę.

Młodzian wykazał się odwagą typową dla tremandzkiego pospólstwa, nijak nie przystającą do pretendującej ku szlachectwu warstwy, na jaką pozował. Splunął na ziemię, po czym zakrzyknął sięgając po rapier, jednak, by słowa zamienić w czyn już się nie kwapił:

– Na niego! Bić kurwiego syna, kamraci!

Hedaard nie czekał czy „kamraci” wezmą się do rzeczy ze swymi rożnami i pałaszami, czy też nie. Wypalił z półhaka w łeb najbliższego, robiąc z czerepu krwawą miazgę rozbryzganą malowniczo na ścianie, po czym w kilku krokach dopadł reszty hultajstwa, roztrącił. Staroświecki miecz zafurkotał w powietrzu.

Pierwszy na ziemię padł ten, który miał bronić się lub atakować, chwycił w ramiona sikające krwią, bezgłowe ciało towarzysza. Jego własna głowa potoczyła się po błocie niczym szmaciana piłka wprost pod stopy kamratów. Drugi, drałgal, o twarzy jak po ospie, ze zdziwieniem skonstatował, że na nic mu było zastawianie się rapierem przeciwko ciężkiemu bastardowi. Czwórgraniasta klinga pękła niby sopel lodu i poszybowała w górę, wbiła się w rygiel ściany pobliskiego budynku, płosząc wygrzewające w słońcu ptactwo. Drałgal odruchowo chciał się zasłonić ręką, co nie było najrozsądniejszym pomysłem w jego życiu – chwilę potem wyjął jak zwierzę padł na kolana, w kupę nawozu, przyciskając ucięte ramię do plującego żywą juchą kikuta.

Kędzierzawy łotr w wysokim kapeluszu ledwo zdzierzył następne, mało finezyjne cięcie, biorąc je na zastawę. Hedaard odtrącił biodrem krzykacza z karczmy, po czym uderzeniem półhaka posłał w powietrze zęby wypacykowanego młodzieńca po lewej. Poprawił solidnym kopniakiem. Celował w brzuch, ale wszystko działo się tak szybko, że nie trafił i podniósł bezzębny na bucie, choć nie miał takowego zamiaru, powodując dramatyczny spadek wartości rodowych klejnotów nieszczęśnika. Nie odwracając się odwinął na oślep mieczem. Niepotrzebnie. Spodziewał się pchnięcia w plecy, ale nikt nie zamierzał się do zdradzieckiego ciosu. Miejscowi hultaje podobni byli zgrai hałaśliwych kundli, które potrafią tylko szczekać, ale już ukąsić porządnie nie za bardzo, pierchając z podkulonymi ogonami na widok wilka. Podobni, bo ci tutaj, trzeba przyznać, nie rozpierchli się od razu. Teraz jednak zamierzali naprawić ów błąd. Kiedy sztych miecza śmignął przed twarzą ostatniego z zawadiaków, ten puścił się pędem w głąb ulicy między obserwujących zajście gapiów. Prowodyra zajścia zostawił sam na sam z okrutnym rzeźnikiem. Nawet bezręki drałgal wykazał tyle rozsądku, aby powlec się byle dalej. Jęczał przy tym i lamentował wniebogłosy. Kędzierzawy jako jedyny ostał się przy towarzyszu. Chlasnął Hedaarda pałaszem w pierś, ale nie trafił. Przeciwnik zwinnie uskoczył w tył, odrzucając samopał precz, lewą dłoń kładąc na głowicy wzniesionego miecza. Straszliwe cięcie omal nie strąciło kapelusza łotra. Strzymał je tylko dzięki szczęściu, zastawiając się w porę. Klinga zgrzytnęła, zsunęła się po esowatym jelcu sypiąc skry jak ze szlifierskiego koła. Kędzierzawy padł w tył, zadkiem prosto w skrwawione blocko, wypuścił rękojeść pałasza z dłoni. Co innego straszyć chłopów czy brzuchatych kupców, nawet burda w karczmie, gdzie zdarzyło się komuś porachować zebra, czy przekłuć rapierem, co innego stanąć przeciw komuś, kto najwyraźniej nie tylko wiedział, za który koniec oręż trzymać należy, ale i jak go używać. W dodatku, na którym krew i śmigające ostrza nie robiły najmniejszego wrażenia. Z wprawą rzeźnika oprawiającego zwierzęce półtusze Hedaard

rozpruł ostatniego z grasantów, tego, od którego zaczęła się cała zawierucha. Nie bacząc na zwierzęce rżenie zawinał zręcznie ciężkim mieczem, odrzucając umierającego jakby rzeczywiście był tylko polciem mięcha. Kędzierzawy po kres swych dni miał zapamiętać lodowate oczy swego pogromcy. Otarłszy klingę o adamszkowy szustokor trupa, Hedaard stanął ponad nim, wysoki, straszny. Jego sztych zatoczył luk, wskazał pierwiej oręż leżący nieopodal, a potem sponiewieranego hultaja. Zatrzymał się przy obnażonej szyi wystającej spośród koronek rozerwanego kołnierza. Kędzierzawy pokręcił głową i spiesznie wycofał się niczym jakiś pokracyjny pająk, czy rak. W odległości kilku kroków poderwał się i pomknął niby strzała, niksząc w labiryncie uliczek.

Ucichło. Miasteczko dotąd gwarne i ludne zamilkło jak po przejściu zarazy. Zgrzyt miecza chowanego do pochwy zabrzmiał niezwykle głośno. Hedaard odwrócił się i ruszył w stronę stajni, z której wypadł właśnie Semko zaniepokojony hukiem wystrzału. Widząc swego pana pośród pokrwapionych trupów, zawrócił po oporządzone konie.

W drodze do bram towarzyszyły im trzaski okiennic i drzwi, tupot umykających w zaułki mieszcuchów.

Nikt nawet nie myślał zatrzymać straszego rzeźnika.

Krzyki śród nocy

Góry Płaskie były dokładnie takie jak ich nazwa. Niektórzy, zwłaszcza miejscowi, nazywali je Zębatymi i też mieli w tym sporo racji. Rozciągnięte szerokim łukiem na blisko osiemdziesiąt mil, łączyły się na północy z łańcuchem Rhyfed, tworząc nieprzebyte masyw. Była to kraina niegościnna, ale zarazem przepelniona niezwykle, surowym pięknem. Gęsta puszcza niby płaszcz okalała pocięte jarami wzniesienia, pośród których sterczały spękane piaskowce o wyjątkowo malowniczej rzeźbie. I tylko kilka siół przycupnęło w żyznych dolinach i skalistych nieckach. Jedną z takich osad były właśnie Trzy Dęby, usadowione dwa dni drogi w głąb owego królestwa skał i lasów. Prowadziła tam tylko zapuszczona, z rzadka uczęszczana, ale przejezdna droga – wszak mieszkańcy wsi handlowali swoimi dobrami z zewnętrznym światem. Wiła się ona zrazu brzegiem strumienia, pod pochylonymi groźnie konarami wielkich drzew. Wspiąwszy się na grzbiet łagodnego wzniesienia, skąd po raz ostatni można było spojrzeć na małe dachy Lutnej w dali za plecami, opadała pomiędzy skały.

– Co wasza świątobliwość na to, byśmy zatrzymali się na noc? – zapytał Semko rozglądając się nerwowo.

– Do nocy jeszcze daleko. – Hedaard popatrzył w niebo. – Moglibyśmy dołożyć jeszcze parę mil nim się ściemni.

– Dalej droga przez Żalnik Olbrzymów wiedzie. Trzeba dobrze jej wypatrywać śród głazów, coby błędzyny jej nie zmyliły – odparł chłopak markotnie, i szybkim ruchem skreślił X na piersi. – A tu, niedaleczko jest miejsce, gdzie kupce zawsze na popas stają. Moglibyśmy tam...

– Prowadź!

Nie oddalili się zbyt od drogi, kiedy otworzyła się przed nimi otoczona bukami przestronna niecka. Porowate, spękane skały wznosiły się wokół wysoko, przesłaniając szerniałymi koronami ciemniejące niebo. Semko, skorzystał z chrustu i drew pozostawionych przez kupców, by rozpalić ognisko, po czym zaczął oporządzać konie. Zerkał od czasu do czasu na swego pana ukradkiem. Ten, spoczawszy na jednej z otaczających palenisko ław z bali, z uwagą i niejaką troską polerował brzeszczot zabytkowego miecza.

– Czy te dziwne znaki – zainteresował się nieśmiało chłopak, sponad kipiącego kociołka, w którym gotował się nieostrożny królik – to jakiś napis?

– Owszem – odparł Hedaard nie podnosząc wzroku. – Ale muszę cię rozczarować. Nie jest to żadne tajemne pismo. To aumallska minuskuła. Jeszcze trzy wieki temu wszyscy tak pisali, co dość nieudolnie oddał miecznik. Na swoim fachu znał się jednak wybornie, jak sam możesz zauważyć. – Przejechał raz kolejny szmatką po zimnej stali.

– A czy on... ten napis, coś znaczy?

– Zapisano tu po prostu w starodolnomorungijskim imię miecza. Dawniej wiele niezwykle sztuk oręża nosiło imiona. W tym więc także nie ma niczego nadzwyczajnego.

Semko długą chwilę mieszał zawartość kociołka. Robiło się coraz ciemniej, a wokół unosił się intensywny, drażniący nozdrza smakowity zapach.

– Jakie jest imię tego miecza, wasza wielmożność? – zapytał, gdy czas mijał, a rozbudzona ciekawość wciąż nie zostawała zaspokojona.

– Tego miecza? – powtórzył Hedaard, unosząc sztych oręża w stronę płomieni. Wypolerowana stal zabłysła w blasku ognia. Wargi inkwizytora wykrzywiły się w uśmiechu, kiedy spojrzał wzdłuż zbrocza, wyraźnie ukontentowany efektem swej pracy. Ale było w tym uśmiechu coś jeszcze. Jakaś upiorna radość wiążąca się ze wspomnieniami dotyczącymi owej morderczej broni. A może to tylko wyobraźnia młodziana, podsycona tańcem płomieni? – Zwie się on Dekapitator. – Jelec stuknął o srebrne okucia, gdy właściciel wraził oręż do pochwy. Ciche syknięcie stali kojarzyło się z niezadowolaniem godnym żywej istoty. – No, wasza wielmożność, podawaj strawę! Po zapachu wnioskuję, że potrawka gotowa, a z ciebie niezgorszy kucharz.

Chłopak nałożył szczerze do misek, wrzucił w ogień rozlupane bierwiono wzbijając snop iskier. Zapadła cisza przerywana trzaskiem pękających polan, siorbaniem i mlaskaniem. Zarówno Hedaard jak i Semko, zgodnie, choć bez słów, stwierdzili, że postój w guszy rządzi się swoimi prawami, przeto odłożyli konwenanse na bok. A i potrawka wyszła rzeczywiście smakowita, tym bardziej zachęcając, by po całodziennym podróżowaniu zaspokajać apetyt, nie zaś umiłowanie dobrych manier. Szczęśliwie, niesamowity krzyk rozdarł ciszę nocy dopiero, gdy łyżki zaczęły skrobać o dna naczyń, inaczej z pewnością chłopak straciłby kolację, wylewając zawartość miski na siebie. Inkwizytor bez przestachu, za to z chorobliwym zainteresowaniem, rozejrzał się wokół usiłując wzrokiem przebić ciemność. Wibrujący wysokimi rejestrami głos rozbrzmiał raz jeszcze, przyprowadzając go o gęsią skórę i coś, co pewna młoda przyjaciółka Hedaarda nazywała niegdyś cierpieniem zębów. Twarz Semka zmieniła się w niemą maskę przerażenia. Miska w istocie wypadła mu z dygocących dłoni, bryzgając dookoła resztkami sosu, przy wtórze szczękających niczym kastaniety zębów. Krzyk powtórzył się po raz trzeci, niepodobny niczemu, co kiedykolwiek było dane słyszeć któremukolwiek z nich. Potem wszystko ucichło.

– Co z tobą, wasza wielmożność? – zapytał Hedaard wpatrując się w młodego sługę z uwagą.

– Tto onna... – wykrztusił Semko, kiedy wreszcie udało mu się złapać oddech.

– Kto taki?

Ale odpowiedź nie nadeszła, bowiem noc ożyła ponownie. Tym razem głosami lelków kozodojów. Dziesiątkami, a może setkami zebrały się gdzieś w pobliżu, wydając z gardel przeraźliwe gulgocące trele.

– Gorze nam! – wyjęczał chłopak piskliwie i, padając na kolana, nakrył się postrzępioną derką.

Hedaard wstał spokojnie, odsłonił jego twarz. Tańczące płomienie szkarłatem przejrzały się w rozszerzonych do granic źrenicach.

– To tylko ptaki, chłopcze, nie rozdziobią cię – rzekł uspokajająco, acz z wyraźnym chłodem w głosie. – Zadałem ci pytanie, a nie lubię dwa razy powtarzać.

– Ww... wasza wielmożność... tto ona! – wykrztusił Semko, walcząc z obrzydliwie zwierzęcym, pierwotnym strachem, który kazał mu skamienieć, aż przeminie zagrożenie.

– To już wiemy – w dłoni Hedaarda pojawiła się niewielka srebrna piersiówka. Odkorkował ją i przytknął do ust młodziana obdarzając palącym, lecz osobliwie kojącym smakiem. – A teraz chętnie bym się dowiedział co to za budząca groźę „ona”?

– Przestrzegali kmiotkowie w Trzech Dębach, że jeśli posłyszemy krzyk wielkiej sowy...

– Nie brzmiało mi to na sowę, ale niech tam... Mów dalej!

– Gdy się jej krzyk usłyszysz to biada, bowiem to strzyga co to po nocy lata, by krew wysysać ucapiwszy szponami swemi za kark. A kiedy lelki się zbiorą, znak to niechybny, że się z tego nijak wywinąć nie uda. Bo czekają one, coby duszę porwać, nim w zaświat ucieknie!

Hedaard uśmiechnął się mimowolnie. Postawił chłopaka na nogi, otrzepał dłonią jego kubrak, strącił jakiś niewidoczny paproch ze swego koronkowego mankietu, po czym pociągnął łyk kordiału.

– Jak widzisz, te przeklęte ptaszyska zamilkły nie zabierając duszy żadnego z nas.

Obszedł ognisko i rozsiadł się znów na ławie, mrokowi nocy nie poświęcając ani krzty uwagi. Wyraźnie lekceważył wszystko, co mogło się czaić poza zbawczym kręgiem światła.

– A mówili zacni włościanie, jak owa strzyga wygląda? – podjął, upijając kolejny łyk. – Albo może jak się przed nią bronić należy? Bo nie uwierzę, że skoro o strzydze wiedzą, a wiedzą, jeśli

naopowiadali ci tak, żeś omal hajdawerów nie zabrudził na głos pierwszego nocnego bydłęcia, ruszającego na łów. Nie wierzę, że się przed owym upiorem nie bronią w jakiś sposób. Gdyby nie było nijakiej rady na niego, raz dwa by się wszyscy wynieśli gdzie pieprz rośnie. Nie bajali tedy niczego więcej?

Semko owinął się szczelnie derką. Wciąż dygotał niby osika, jednakże teraz bardziej z zimna niż ze strachu, nad którym, w obecności pewnego siebie wysłannika kościoła, dało się zapanować.

– Mówili, że to kobieta o szponach krogulca. Potrafi ona w sowę się przeobrazić i tak po świecie nocami wędruje w poszukiwaniu ofiar, które z krwi do cna wysysa, bowiem jej łaknienie końca nie zna. Nie masz li przeciw niej żadnej ochrony, jak w chałupie na cztery spusty zawartej na noc pozostać. I modlić się do Jedyneego, aby złe moce odegnać.

– Niedouczeni tedy ci kmiotkowie, chłopcze, ale jak tu ich winić? Im za jedno, co krwi z nich upuszcza. Zwał jak zwał. Z twego opisu wynika, że jeśli w ogóle cokolwiek Trzy Dęby nawiedza, nie jest to zwykła strzyga, a, jak ją nadęci profesorkowie z uniwersytetu zowią, powratnica, strega albo striga, mylnie przez lud zwana właśnie strzygą. – Hedaard wrzucił piersiówkę do torby, a widząc wdzięcznego słuchacza, ciągnął: – Ze zwykłą strzygą ma ona tyle wspólnego, że obie gustują we krwi i obie lubią sobie suto ludzkiego mięsa i flaków podjąć. Lud tą nazwą określa zresztą błędnie wiele stworzeń, jak mule, wyjedźce, rugi, zarajny, a nawet ghule i wąpierce. Sposoby na ich unieszkodliwienie są zgoła inne, niż zamykanie się na cztery spusty i klepanie modlitw. Jest owych metod zresztą bardzo wiele, mniej lub bardziej wymyślnych. Długo by je wymieniać, nie będę zatem strzępić języka, zwłaszcza, że zwykle wystarczy sprawnie włączyć orężem i to niekoniecznie srebrnym. Ze strigą jednakowoż sprawa ma się inaczej, już nie tak łatwo niestety.

– Dlaczego? – wypalił szybko chłopak. Dotąd słuchał z zapartym tchem i rozwartymi szeroko ustami.

– Jej domeną jest noc, kiedy to rusza na łów, aczkolwiek nie boi się dziennego światła, które dla podobnych stworów z reguły bywa zabójcze. A to diabelnie utrudnia poszukiwania. Widzisz, striga posiada dwie dusze. Aby ją zgładzić, trzeba unicestwić obie. Z tym, że jedną z nich strega posiada, jakby to określić, przy sobie, druga ukryta jest bezpiecznie wraz z drugim sercem. I choćbyś strigę zmutylował, na dzwonka posiekał, a potem nakarmił tym trzodę, choćbyś ją spopielił żywym ogniem, póki nie zniszczysz obu jej dusz, nie uczynisz jej niczego. Przy najbliższej pełni potworzysko odrodzi się w pełni sił, głodne i wściekłe.

– To nie ma żadnej metody, coby ową duszę odnaleźć?

– Może ona być skryta gdziekolwiek, byle w ziemi z jej mogiły. Szukaj tedy wiatru w polu – rzekł Hedaard z rozbawieniem. Rozłożył na ławie wełniany koc z tobołów przywiezionych przez młodego posłańca dla wygody zacnego gościa. Umościł się wygodnie, krzyżując dłonie pod głową. – Nie jest to oczywiście niemożliwe – podjął, gdy zajął już wygodną pozycję. – Powratnica nie może zaudać oddalić się od owej kryjówki, albowiem tak jak ona potrzebuje tej drugiej duszy, żeby nabrać pozorów nieśmiertelności i czerpać z niej siły, tak dusza więziona być musi obecnością swego ziemskiego jestestwa, aby nie ulotnić się w zaświaty. Wtedy starczy bowiem osinowy, głogowy, albo klonowy kolek. Co kto lubi. Problem zostaje jednak ten sam, trzeba wpięć wykopować, gdzie owa kryjówka. Z wiedzą, że nie może być, dajmy na to, w seraju króla Aelfrica tysiąc mil stąd, z pewnością czujesz się pokrzepiony i możemy udać się na spoczynek. Dobrej nocy, waszmości.

– Dobrej nocy, wasza wielbność – odparł chłopak smętnie.

Długo jeszcze nie mógł zasnąć wpatrując się w ciemność, nasłuchując głosów nocy i cichego oddechu inkwizytora.

Trzy Dęby

Zatrzymali się na krótki popas dopiero po południu, kiedy otworzyła się przed nimi szeroko kotlina, zwana powszechnie Miodową. Dukt wiódł dotychczas przez gęsty las pocięty skałami na podobieństwo rozrzuconych przez bogów kości do gry. Kiedy teren podniósł się, las ów nagle ustąpił, a droga zawiodła w miejsce, znane jako Żalnik Olbrzymów. Był to drażony przez wodę i wiatr potężny, spękany skalny kompleks. Wydawał się być nie do przebycia, a jednak trakt wiodł naprzód, wprost w labirynt malowniczo ukształtowanych bloków kamienia. Wila się i opadała, nękana w

czeluściach, gdzie nawet o tej porze roku zalegał śnieg. Zagłębiała się w miejsca przesłonięte skalnym sklepieniem. Wreszcie, nie wiedząc kiedy, przeistoczyła się w wygodną zieloną drogę poranioną bruzdami kolein. Monumentalne filary rozstąpiły się odsłaniając rozległą kotlinę. Okalał ją gęsty pierścień lasów i tonących w chmurach górskich szczytów. Trakt opadł łagodnymi łukami w dół, poprzez szachownicę pól, między falujące łąny i czerwone od maków łąki i miedze. Kiedy zaś wspięła się na szczyt kolejnego wzniesienia, oczom podróżnych ukazał się widok, który, zaiste, musiał opisywać sławny poeta z Czarnego Boru. Pośród sadów i zagród, wznosiły się niewielkie, drewniane chałupy. Skupiały się one wokół kilku bogatszych domostw, z poprzylepianymi wieżyczkami, o lamanych, krytych gontem dachach i ścianach z bielonej fachówki. Nad wszystkim górowało nagie wzgórze upstrzone nagrobkami, zwieńczone porośniętą bluszczem bryłą domu kapłana i gmachem świątyni. Między nimi strzelała w niebo kolumna, z której w dolinę spoglądała pomalowana w jaskrawe barwy figura Aedonei. Środkiem wsi toczyła wody niewielka rzeczka. Przerzucono nad nią kilka kładek, a w zakolu omijającym świątynne wzgórze całkiem solidny most. Rzeczka napędzała młyńskie koło w drugim końcu wsi, a stamtąd o rzut kamieniem znów rozciągały się pola, aż po kraj widocznego w dali lasu. Tylko dymy widoczne na północnym wschodzie zdradzały gdzie znajdują się Służniki. Cieszącego się złą sławą kasztelu rodu Retz, albo też Reczów, jak chcieli miejscowi, nie było widać.

Uwagę jeźdźców przyciągnęło zbiegowisko w samym środku wsi, opodal trzech wielkich, pokręconych dębów. Krzyki niosły się daleko, aż do uszu przybyszy i bynajmniej nie ucichły, kiedy ci się zbliżyli.

– Wszystko to wina świń plugawych ze Służnik! – perorowała matrona w podwice, z której wystawał tylko długaśny nos, zasuszony niby niezebrane jesienią śliwki i o podobnej barwy cerze. – Zapamiętacie me słowa, kumotrzy, martwą ją najdziem, jeśli kiedykolwiek! Zabrali ją, kiedy się w las za daleko zapuściła! Zasadzili się, jako ci wilcy i upatrzyli dogodny po temu moment. Nasyciwszy zaś diabelskie żądze, porzucili bez życia w jakimś wykrocie, jak czynili już wcześniej z innymi! Powiadam wam, że przeklęte ich sioło, przeklęte całe plemię! Złemu służy i kłaniają się w ciemności, ofiary z krwi dziewiczej składając!

– Przepadła! Nigdy nie ujrzę już mojej Żyborki! – lamentowała w tle korpulentna niewiasta podtrzymywana przez dwóch dryblasów.

– Tuście kumo się zagalopowali – rzekł spokojnie barczysty, wcale bogato odziany, siwy mąż. – Ciężko by rzec o Częborze, by on dziewiczą... dzieweczką... tfu! Wilcy pewnie Żyborkę rozszarpały jako i jego!

– O ile Czębor po pijaku z grobli nie spadł i się nie utopił, kiedy przed żoną się krył – rzucił ktoś z tyłu.

– Bzdura! – wydarła się śliwonosa. – Oczu na prawdę nie chcecie otworzyć! Alboście może w znowie z nimi, wyznawcami złego? Że też od razu się na was nie poznałam! A po was przecie zrazu widać, żeście miłośnik strzygi!

Gniewny pomruk przeszedł po zebranych, niczym fala przyboju.

– Zawrzyjcie lepiej gębę, kumo, nim zbyt wiele powiecie!

– A co, nie mówiła żem?! He? Teraz oczy mi się otwarły i wybornie widzę po was, że jesteście współnik strzygoni! Pewnikiem i rodzinę w tej przeklętej wiosce macie, mości Dziwigorze, a? Braci strzygoni, szwagierki strzygi i małe strzygątka za bratanków i bratanice?

Ktoś zachichotał nerwowo, zaraz umilkł pod gniewnym spojrzeniem siwowłosego.

– Żebyście wiedzieli, kumo, że mam! I nic wam do tego! Wyście nie z Trzech Dębów to i gównu wiecie! Za krótko tutaj mieszkacie, by się w miejscowych sprawach należycie wyznawać. Ba, żeby w ogóle się w nich wyznawać! Do tegoście baba, tegdy gębę zamknijcie nim wam kto resztę zębów porachuje i posłuchajcie, co rzeknę! A rzeknę, że Żyborkę wilcy opadli!

– Moja córcia... córusiaaaaaaaaaaaaa! – znów załkała matka.

– Tego kościelnego poborcę także wilcy żezarli może? – Śliwkowy nos zatrzęsł się pod podwiką, kiedy jego właścicielka groźnie wymachiwała uniesionym wysoko wskazującym palcem. – Powiadam wam, jeśli mieszka tu jaki chłop, co spodnie nosi miast głowę w łajno chować, to winien chwytać za widły i kłonicę i do Służnik się udać! Tam szukać! Zbrodniarzy ukarać! Krwi zwyrodnialcom upuścić! Zaraz, mówię wam, dobrzy ludzie, skończcie się owe tajemnicze zniknięcia! Zaraz owa tajemna wataha wilków, co to latem pod ludzkie sadyby podchodzi polować, zaraz ona, powiadam wam, zniknie! Wyjdzie prawda na jaw! Wyjdzie, żeście jako te bydło na paszę dla strzyg

hodowani! Ale to, powiadam, skończyć się musi! Kto chłop niechaj za muszkiet chwyta, a dobrze go srebrem narychtuje! Pójdziem do Służnik i zaraz się przekonacie, dobrzy ludzie, kto rację ma. A może i Żyborkę najdziem. Kto wie? Może i dycha jeszcze? – potrząsnęła groźnie sierpem, który nie wiedzieć skąd pojawił się w jej drugiej dłoni. – Niech no ktoś kopnie się po wielebnego, co by nas modlitwą wspierał i ruszajmy bez zwłoki!

Tlum zafalował. Tu i ówdzie wzniosły się cepy i grabie.

– Na Służniki! – ryknęło kilka głosów ochoczo.

– Zaraz, hola! – ponad zgromadzenie wzniosł się kolejny głos, należący do schludnie i bogato odzianego mężczyzny w aksamitnym surducie ze złotymi pętlcami i, wcale nie tremandzką modą, w peruce. Widać nawet na kraniec świata docierały nowinki. – Czyście się wszyscy szaleju najedli? Nie dość, że za górami myślą, żeśmy dzikusy, niestworzone historyje opowiadają o naszej osadzie, to jeszcze my sami w bajędy mamy wierzyć? Ba, nie tylko wierzyć, ale na ich podstawie zbrodni się dopuszczać? Dyć wiadnym jest dla nas wszystkich, że choć w Służnikach kmiecie dziwnymi są nieco, przecie oni ludziska jako i my wszyscy, tyle, że Morungijczyki. A kto inaczej twierdzi głupcem jest jeno. Stawy nam przeszukać, las, a nie jak zbóje sąsiadów napadać...!

– Wy się, panie wójcie, nie wtrącajcie lepiej, bo znów jak za waszymi radami będziem czynić, to z tego tylko bieda wyjdzie. Pomnijcie tylko, to przez wasze listy inkwizycja ma tu przybyć. Węszyc będzie, spektakle czynić! Niczego takiego nam tu nie trzeba!

– Mus mi je było napisać, nie myślcie! Dla waszego dobra to wszystko czynię!

– Tak tedy dla naszego, a przede wszystkim swojego dobra, zejdźcie z drogi, wójcie, i nie przeszkadzajcie, skoro pomagać nie chcecie. Dalej, chłopcy, kto tam co ma w garść brać! Czas nam do Służnik! Na pohybel z nimi, kurwimi synami! Nie będą nas zreć ni porywać nigdy więcej! Jak się im chałupy spali, zaraz zło przepadnie, do cna wyżarzone! Ogień oczyści ziemię z plugastwa!

– Na Służniki! – znów poniosło się chórem.

– Stójcie! – wójt ryknął niczym buhaj, stanął na drodze z szeroko otwartymi ramionami, jakby chciał zagarnąć i zatrzymać rozsierdzoną tłuszcę. – Toć nawet jeśli wam się uda ze Służnikami sprawić, to co wtedy? Przecie pani Recz hajduków swych w odwecie do Trzech Dębów przyśle! Kamień na kamieniu ze wsi nie ostanie!

– Ot i dobrze wreszcie prawicie, wójcie. Pierwej wiedźmą trza by się zająć – przez zgromadzenie przeszedł ponury pomruk, tym razem bez poprzedniego entuzjazmu. – Ale nie lękajcie się, ludziska. Nic to dla nas żołdacy czarownicy. Jedyne co potrafió, to groźne miny stroić, chlać i dziewczki obłapiać. Ale kres na nich przyszedł! Jak się w kupę weźmiem, niegroźni nam oni. Kaźden jeden zmięknie jak raz cepem przez łeb weźmie. A co dopiero jak tych razów wiele będzie? Nas jest dużo, ich niewielu. Czas nam im pokazać, gdzie raki zimują! Dość już pany nas ciemiężo! W kupie siła! Na kasztel!

Wystrzał z półhaka odbił się hukiem od domostw, powrócił zwielokrotniony echem. Zaśmierdziało iście jak w opowieściach o demonicznych objawieniach. Na zgromadzonych jakby wylano kubel lodowatej wody. Rozochoceni, napompowani wściekłością chłopkowie odwrócili się wytrzeszczając oczy, nie dowierzając zarówno im, jak i uszom. A potem na widok możnego pana czapki i kapelusze powędrowały ku ziemi, karki zgięły się w pokłonie.

– W kupie smród takó – rzekł Hedaard spokojnie i chowając dymiącą jeszcze broń do olstra, sięgnął po drugi samopał. Po czym, bez specjalnej ostentacji, bacząc jednak, by wszyscy to zauważyli, oparł lufę w zagięciu lewego ramienia. – Na waszym miejscu przeszukałbym lasy. Jeśli zaś będziecie mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy to duchowe, czy też inne, radzę przyjść do mnie po poradę.

Zaszemrało cicho, kilku kmieci z tyłów chyłkiem umknęło między chaty. Śliwonosa wciąż zgięta w pół podniosła wzrok. Wątpliwe, czy widziała cokolwiek spod opadającej na oczy podwiki.

– Kogóż witać przystało w naszej skromnej wsi, wasza wielmożność?

– Nic kapłan wam nie rzekł? – zapytał gość, powodując koniem, by lepiej przyjrzeć się widomej prowadyrce całego zajścia, omal najeżdżając na najbliższych wieśniaków. – Więcej porządków trzeba tu będzie zaprowadzić, jak widzę. Jestem Hedaard, przedstawiciel Świętego Oficjum na diecezję ostrogską, nadto rewizor w służbie biskupa Przedśława.

Kmiecie ponownie zamietli ziemię czapkami i kapelusami.

– No, dobrzy ludzie, zbierać się trzeba. W las wam pora, zaginionej szukać. Taka tragedia – załamał ręce nieszczere. – Do świątyni, widzi mi się, i tak sam trafię. Z Jedynym, drodzy włościanie. Owocnych poszukiwań życzę.

*

Wielebny Chryzant był postawnym mężem. W barach szerszy nieco niż Hedaard, w pasie znacznie. Twarz jego miała dobrotliwy wyraz, choć mocno zarysowana szczęka nadawała jej pewnej stanowczości. Czołoci dopełniał bulwiasty nos oraz oczy sinoniebieskiej barwy. Uważne, skore do uśmiechu, o czym wyraźnie zaświadczały zmarszczki w ich kącikach. Tonsurę miał spaloną słońcem, co z kolei było znakiem niechybnym, że milsze mu nadzorowanie kościelnych dóbr, niżli pióro i księgi. Odziany skromnie, zgodnie z nakazami synodu, aczkolwiek jakość materii, z których skrojone były szaty dobitnie świadczyła o dostatku, na równi z pierścieniami zdobiącymi palce obu dłoni.

Witany wylewnie Hedaard zastanawiał się, czym też ojczulek naraził się kurii biskupiej, iż zesłano go do parafii na krańcu świata.

– Przyznam się, wasza wielbność, że czego innego spodziewałem się obejmując pieczę nad Trzema Dębami – rzekł duchowny, prowadząc gościa przez doskonale utrzymany ogród. Początkowa jowialność zniknęła z jego głosu niby zdmuchnięty płomyk. – Oczekiwałem ciszy i spokoju sprzyjających medytacji i rozważaniom, nie zaś zbrodni i mrocznych opowieści ocierających się o herezję. Zaprawdę wiele jeszcze pracy przed nami, pracy żmudnej, niełatwej i niewdzięcznej przede wszystkim. Pogaństwo bowiem, wasza wielbność, jest tutaj nieomal widzialne i namacalne. W tym też upatruję, za pozwoleniem, podłoża zbrodni, jaka miała miejsce. Ziarna, które wydało tak złowieszczy plon.

– Twierdzicie zatem, ojcze – odparł Hedaard, pokonując stopnie prowadzące do ciemnej sieni – że poborcy nie ma już wśród żywych?

Chryzant przez chwilę milczał z zaciśniętymi ustami. Obaj zatrzymali się, dając oczom przywyknąć do panującego w holu półmroku.

– Wydaje mi się to nader oczywiste – odrzekł kapłan ostrożnie – iż po tak długim czasie od zaginięcia, znikome są szanse na jego szczęśliwe odnalezienie. Jeśli by zaś sprzeniewierzył się pokładanemu w nim zaufaniu, mniemam iż bracia inwestygatorzy prędko by go odnaleźli, a waszej wielbności nie było by tutaj.

Inkwizytor przez chwilę wlepił w Chryzanta spojrzenie, od którego ciarki chodziły po plecach.

– Co do kilku faktów nie mylicie się, ojcze – odparł ruszając dalej. Chcąc nie chcąc, wielbny podreptał za nim, zupełnie nie jak gospodarz. Podeszwy zapiszczały na wypolerowanej posadzce. – Biskup wielce zaniepokojony jest zniknięciem brata Kastyna i brakiem efektów prowadzonych poszukiwań. Martwi go fakt zaginięcia zebranej dziesięciny jak i niefrasobliwość brata, który nie wziął ze sobą eskorty, ani, nim wyruszył w dalszą drogę, nie ostawił zebranych dotychczas pieniędzy, jak zawsze to czyniono, w kantorze w Lutnej. Byłaż tego konkluzją myśl, jaką i ty, ojcze, dopuszczasz do siebie, wszelako nie trafiono na ślad ni Kastyna, ni pieniędzy. A szukano, szukano wielce skrupulatnie. Wierz mi, ojcze, wielbny biskup modli się gorliwie o szczęśliwe odnalezienie. Takż o uczciwość. Wiadomo jednak, iż modlitwę wesprzeć czynem trzeba, Jedyny bowiem wspomaga i nagradza działania, grzeszną opieszałość zaś karze.

– Prawda to – przytaknął Chryzant, składając ręce pobożnie. Nabral powietrza w płuca, by uraczyć gościa przemową o wierności, zapewnić o oddaniu swoim i swoich parafian.

– Pogwarzymy jednak o tym później – uciął Hedaard. – Niczego mi bardziej teraz nie trzeba niżli odświeżającej kąpieli. Macie tu jaką łaźnię, jak mniemam?

Wielebny doskoczył do ściany, chwycił długą szarfę, zakończoną zdobnym kutasem. Gdzieś w głębi domostwa rozległ się dzwonek.

– Maja was zaprowadzi, wasza świątobliwość. Przygotuje wszystko, pomoże się ochędożyć... Ja tymczasem każę wam strawy naszykować, przygotowuję kwatery także.

Przesłuchanie w balii

Popołudniowe słońce świeciło przez otwarte okno wprost na twarz Hedaarda.

Zanurzony po szyję wylegiwał się w balii, pozwalając odpocząć rozluźnionym mięśniom, rozkoszował się zapachem wonnych olejków, których Maja nie żałowała szykując kąpiel. Dziewczyna zresztą nadal nie próżnowała. W czasie, gdy gość, zmywszy z siebie pierwszej pył gościńca oblewając się chłodną wodą z konwi, leniwił się w ukropie, zdążyła, zgodnie z życzeniem, wyprać jego szaty. Teraz zaś donosiła w cebrach gorącej wody.

Inkwizytor wodził za nią wzrokiem podziwiając oblepiony mokrym giezłem pokaźny biust i gibkie biodra. Słomianego koloru warkocze, przy skroniach zwinięte w obwarzanki, niżej puszczone wolno, sięgały aż za krągłe pośladki. Pełne usta radowały oczy a zdrowa, jasna cera ledwie tylko liźnięta słońcem, była widomym znakiem, że dziewczę, choć hoże, bynajmniej nie trudziło się w polu wraz ze swymi rówieśniczkami, za całą służbę mając pracę na plebanii. Hedaard zawsze uważał Tremandki za jedne z najpiękniejszych na świecie i zastanawiał się, czy to nie zamilowanie do takich właśnie dziewcząt było przyczyną zesłania ojca Chryzanta. Jeśli tak, kara pewnością nie dawała się zbyt duchownemu we znaki. Maja wyraźnie dostrzegła zainteresowanie gościa i bynajmniej nie było jej ono niemiłe. Za każdym razem, gdy wkraczała do komnaty dźwigając kolejny ceberok, krok jej stawał się nieco taneczny, bardziej koci, omal lubieżny. Kiedy zaś woda przelała się wreszcie przez brzegi balii, chlapiąc na kolorową posadzkę, dziewczyna wsparła się dłońmi o drewnianą krawędź, prezentując przejące pod koszuliną piersi.

– Szaty waszej świętobliwości suszą się na słońcu – rzekła głosem, który także przypominał mruczenie kotki. – Czy wasza wielebność ma jeszcze jakieś życzenia, czy też mam się już oddalić?

Hedaard wejrzał w błękit jej oczu, w tańczące w nim wesołe iskierki.

– Życzymy sobie, abyś wyszorowała porządnie nasze plecy.

– Ależ, panie, balia wysoka, ręce me zaś nie dość długie... – zaprotestowała słabo i udając zawstydzenie, zasłoniła piersi dłońmi, tym bardziej je jeszcze uwypuklając.

– Twoja w tym głowa, Maju, by sobie jakoś poradzić.

Dwa razy nie trzeba było powtarzać. Ściągnięte przez głowę giezło wylądowało w rosnącej kałuży, moknąc już do szczętu. Zaś dziewczę z pluskiem wskoczyło do balii i zniknęło pod wodą. Tylko końce warkoczy falowały na powierzchni, kiedy przez długą chwilę, zanurzona, zajmowała się ku zadowoleniu Hedaarda czymś zgoła innym niż szorowanie pleców.

Kiedy wreszcie jej twarz, okolona mokrymi włosami, wyłoniła się z wody przypominała jakąś pogańską boginkę. Wargi ułożyły się w bezbożnym w swej niewinności uśmiechu.

– Tak samo służysz ojczulkowi Chryzantowi? – zapytał Hedaard ujmując w dłonie części ciała dziewczyny ewidentnie stworzone po temu, by je obejmować, a choć inkwizytor miał palce długie niczym dusiciel, nie był w stanie całkowicie sprostać temu zadaniu. – Tak samo służysz mu, wodząc na pokuszenie duchowną osobę?

– Ten stary cap – parsknęła w odpowiedzi – nad niewieście wdzięki przedkłada ciała młodzieniaszków. Mną zainteresowany nie był. A gdyby mu się kiedy zdarzyło, ucięłabym mu dłonie przy łokciach, jak nie dalej!

– Ważyłabyś się rękę na przedstawiciela Matki Kościoła podnieść?

– Jeśli by ów przedstawiciel na mnie swoje pchał? A pewnie!

– A wiesz ty, mościa panno, że za coś takiego kazałbym z ciebie twą śliczną skórę pasami drzeć? Język hardy też pewnością nakazałbym odjąć.

Wepchnął ją znów pod wodę. Oparła się tylko na tyle, by złapać wpierw głębszy oddech. Wynurzyła po rozkosznie długiej chwili.

– Nie uczyniłbyś tego, wasza wielebność – rzekła pewna siebie.

– Tak? A skąd takie mniemanie?

– Z kilku to powodów, panie mój – umieściła dłonie Hedaarda ponownie w miejscach stworzonych po to by, jak już wspomniano, je obejmować. – Dwa z nich właśnie wasza świętobliwość dzierży. Kolejny posiędzie niebawem. Dalej, widzę, że się waszej miłości podobam, taka, jaką mnie Jedyny stworzył, mówiącą co myślę. A myślę. Co nieczęsto białogłomom się przytrafia – zachichotała. Śmiech jej inkwizytor również znalazł przyjemnym. – To jednak nie wszystko. Z rozumu skorzystać potrafisz, a wasza świętobliwość na pewno ma mnóstwo pytań, skoro odwiedził nasz urokliwy, odcięty od świata, zakątek.

– Wielcem ciekawy, jaki to też użytek z rozumu czyniłaś, panna. Zaiste, wielcem ciekawy.

W odpowiedzi Maja wynurzyła się zmieniając pozycję, objęła udami biodra Hedaarda. Westchnęła i przymknęła oczy.

– Jak nic, wasza wielbność, szukasz owego roztrzepanego braciszka, którego po dziesięć i zyski z biskupiej dzierżawy przybył – wyszeptala, łamiącym się z podniecenia głosem wprost do ucha inkwizytora. Poruszała się wolno, niespiesznie, oplatając jego kark ramionami. Delikatny wiatr stukał okiennicami do rytmu. – Tego, który przybieżał do Miodowej Doliny, ale z niej już nie wyjechał.

– Nie było to trudne do odgadnięcia, moja brzeginko – odparł Hedaard, błędząc dłońmi po kształtach jak z marzeń rzeźbiarza. Kolejny raz zadumał się nad urodą tremandzkich niewiast. – Zadziew mnie jeszcze bardziej siłą swego intelektu.

– Opowiem ci, tedy, wasza świątobliwość... co się z nim stało... i gdzie go szukać... – jej ciało naprężyło się, ustami przywarła do ust Hedaarda, wsuwając mu język między wargi. Po długiej chwili oderwała się, wyprężyła w łuk, stęknęła cicho. Woda z chlupotem wciąż i wciąż przelewała się przez brzegi balii, niczym morze atakujące brzeg i cofające się raz po raz. – Powiem o ciemnych sprawkach mieszkańców Trzech Dębów i krążących tu demonach – jęknęła cicho, ujmując twarz kochanka w dłonie, zaglądając w nieodgadnione, przerażające oczy. Nie zlekła się. Wręcz przeciwnie. Jeszcze gorliwiej oddawać się poczęła sztuce miłosnej, ulegając jego dłoniom i ustom. – O pani Recz... och...! O niej też...

– Przyznam... żem ciekaw tego wszystkiego – rzekł Hedaard cicho, obdarzając dziewczynę pieszczotami. Czynił to z niezwykłym kunsztem, jakiego przez długie lata swego życia nabral w ramionach niezliczonych kochanek, metres i inamorat, w komnatach księżniczek i królowych, w łóżach mieszczek, w serajach własnych i cudzych, w zamkach, lupanarach i innych przybytkach rozkoszy. Biegłości nie można mu było tedy odmówić, o czym Maja dowodnie miała się przekonać. Próżności także. Próżności, która gdy nadarzały się okazje takie jak ta, zawsze popychała go, aby się ową biegłością pochwalić. – Niezmiernie, muszę nadmienić – mówił niespiesznie, chłodno, bez emocji jakby w opozycji do swych uczynków, słowa zaś mimo znaczenia, stawały się tłem jeno dla owych podwodnych zmagani – niezmiernie ciekaw. Pierwej jednak chciałbym się dowiedzieć, cóż to sprawiło, żeś tu na wypródki przybiegła ze swymi konfesjami, radośnie wskakując do tej oto balii?

– Cóż poradzę, że potrzeba mi możnego protektora? Kogoś, kto mnie wyrwie z tej dziury, pokaże szeroki świat. Cóż mam począć, że trafił mi się, jak ślepej kurze ziarno, możny inkwizytor? Do tego przystojny wielce? Toć tylko radować się trzeba... i brać, byka za hmm... rogi.

– Wiesz, że jesteś niemożliwie bezczelną dziewczką, Maju?

– Wiem, wasza wielbność...

– No to jak z tymi wyznaniem, panna? – zapytał Hedaard, kiedy oboje, nasyceni, zastygli w przyjemnie chłodną wodzie.

– Pytaj, wasza wielbność, a będzie ci udzielona odpowiedź – odparła dziewczyna ochlapując spoconą twarz.

– Skończ z tą waszą wielbnością, Maju, kiedy jesteśmy sami. I tak już się spoufaliłaś ponad miarę.

– Dobrze, wasza świątobliwość.

– Chyba coś rzekłem? Nie uśmiechaj się tak, córo występku, sprowadzająca pobożnych i świątobliwych mężów na złą drogę.

– Nie uśmiecham się... – zachichotała. – Naprawdę. Jak zatem mam cię nazywać?

– Hedaardem.

– Hedaard? Hed? To nie jest tremandzkie imię. Ani morungijskie.

– Zgadłaś. No to co z bratem Kastynem? Cóż się z biedakiem stało?

– Szlag go trafił, jak można się łatwo domyślić.

– Brawo, gratuluję przenikliwości, młoda damo. A coś więcej? Bo wyobraź sobie, że na to już i biskup wpadł, choć lat ma blisko dziewięćdziesiąt i zapomina, w który półdupek zamierzał się podrapać.

– Strzyga go rozszarpała. Wioskowi cichcem pogrzebali. Całkiem niedaleko. Ot i cała historia.

– Proszę, proszę. Oczywiście wiesz, gdzie jego mogiła?

– Wiem.

– Doskonale. Zaprowadzisz mnie tam później. Wspominałaś też o właścicielce pobliskiego zamku. Co ciekawego miałaś na myśli?

– Dziwna ona...

– Znów żadnych rewelacji. To, że dziwna, wystaw sobie, też już słyszałem. A coś konkretniej może? Dzieci pożera? Zażywa kąpieli w dziewiczej krwi?

– Eee, nie aż tak – Maja wydeła usta, palcem potarła czoło. Kilka kropel spłynęło po policzkach na brodę. – Odkupiła włości od poprzedniego właściciela, Grzysława, gospodarza hradeckiego, kiedy jeszcze była dzieckiem, a widziałam ją od tego czasu ledwie kilka razy. Na msze do świątyni nie chadza. Ona, ani nikt z jej służby, knechtów, czy chłopów. Wszyscy oni zresztą przybyli wraz z nią. Skądś z Morungii, nie wiem dokładnie skąd. Wykarczowali szmat lasu wokół zamku i tam pobudowali wieś, która wszystkiego, czego im trzeba, dostarcza. Więcej nawet, bo sami zaczęli miód sycić i wina robić. Sprzedają je przez jakiegoś agenta handlowego w Lutnej...

– Mów, słucham cię uważnie.

– Niedawno mówiłeś, żeś sam na to wpadł, albo że i tak już wiesz to wszystko.

– Masz mnie. Jednak nie posiadam wszystkich rozumów. No i co dalej?

– Nie pytasz, skąd wiem takie rzeczy?

– Dobrze, skąd wiesz takie rzeczy?

– Trzy Dęby na całym pogórzcu są znane z doskonałych miódów. Drogich, trzeba nadmienić. A ta dziwka konkurencję nam robi...!

– Jakoś nie widziałem po drodze owych setek wozów obładowanych beczkami. Może mnie Semko źle prowadził? Hola, czy to aby na pewno Trzy Dęby?

– Drwij sobie, drwij – naburmuszyła się, mrużąc oczy groźnie.

– Nie drwię. Miód drogi, jedna wioseczka nie wyprodukuje go zbyt wiele. Sprzedałoby się, choćby jeszcze i dwie siostry i ze trzy kuzynki pani Retz wraz z zasadźcami się tu sprowadziły. I wszystkie na wypródki zaczęły miody sycić. Ale my tu nie o trunkach mieliśmy gwarzyć, bo z tego wszystkiego aż mnie chęćka nasza, a o sąsiadce waszego zacnego siola.

– Jak rzekłam, ona sama mało się ze swego siedliska rusza. Ot, czasem nos wyściubi, jak choćby ostatnio, kiedy sprawa brata Kastyna wynikła. Zjechała tu wtedy i z ojcem Chryzantem coś długo radziła. Ale nie udało mi się niczego podsłuchać, jeśli o to ci chodzi, bo zamknęli się w gabinecie, a przed drzwiami hajduka postawili. Nijak podsłuchać...

– Sądzisz, że to ma jakiś związek z Kastynem?

– Jego ubiła strzyga, nijak tedy.

– Nie dzielasz zatem powszechnej opinii, że strzyga to właśnie pani Retz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, wzbudzając w balii fale. Spojrzała na Hedaarda koso.

– Jeden Vels to może wiedzieć.

– Albo że wszyscy w Służnikach to strzygonie?

– Eeee, gdzie tam – zachnęła się. – To głupie gadanie. Przecie, gdyby tak było, to już dawno by nas pożarli. Zaraz po tym, jak się tu sprowadzili.

Inkwizytor uśmiechnął się lekko. Samym kącikiem ust, aby dziewczyna tego uśmiešku nie zauważyła.

– Wróćmy do pani Retz, Maju.

– At, co tu więcej gadać? Wysyła wozy z miodami i winami do Lutnej, gdzie jej komisjoner nimi handluje, a wozy wracają z różnymi dobrami i złotem. Wielu podobnie w Trzech Dębach czyni.

– Wszyscy przez tego samego agenta?

– Nie. Tamten też z nią skądś z Morungii przybył i się w Lutnej osiedlił.

– Rozumiem.

– Czy to już wszystkie pytania, mój panie?

– Jedno tylko jeszcze póki co mi do głowy przyszło. Rzekłaś, że ojciec Chryzant nie gustuje w niewiastach. Nie pytam, skąd wiesz, bo pewnikiem mi sama o tym opowiesz – mrugnął. – Ciekawi mnie, czy wiesz, za jakie grzeszki ojczulo został, wybaczone określenie, zesłany do was?

– Za upodobanie do płci własnej to go raczej nie zesłali. Gdyby tak za to zsyłali, to by wiosek na odludziu prędko zabrakło. No i kto by biskupów, kardynałów i arcyprałatów zsyłał? – Odzyskując humor zachichotała znowu. Hedaard pogroził jej palcem. – Dwa lata temu go przysłano, kiedy ojciec Makary zmarł. Nie mam pojęcia, za co? Alem zauważyła, że osobiście ksiąg nie lubi.

– Jaki on był?

– Kto? Ojciec Makary? Dobry kapłan i dobry człowiek, co się nieczęsto zdarza. Sam sobie ponoć Trzy Dęby wybrał i opiekował parafią kiedy moi rodziciele jeszcze dziećmi byli. Nijak do niego Chryzantowi. Rzemieni u sandałów nie godzien mu nawet wiązać. Ale nie jest on taki znów najgorszy. Jak się chłopcy połapali, co sobie upodobał, ktoś mu zaraz gębę obił. Niby wypadek, niby nikt nic nie widział, ale ojciec Chryzant się był uspokoił...

– Biedny Semko zatem...

– Też nie. To jakiś jego krewniak, czy coś. Jego nie tknie. Zaraz by się nim rodzinka zajęła, a trzeba ci wiedzieć, że chłopak jakoś dobrze skoligacony jest. Sam mówił, że mierzy nie niżej niż stolec kanonika. I uda mu się pewnikiem. Jak dorośnie, ma się rozumieć – poruszyła się, chlapiąc na boki, machnęła dłonią przed oczami zamyślnego Hedaarda, obficie rosząc jego twarz wodą. – Dość już pytań, Hed. Później jeszcze, jeśli będziesz chciał, odpowiem na następne. Teraz chce mi się więcej kochania, póki nie wołają cię na wieczerzę!

Inkwizytor ujął dłońmi talię dziewczyny, przyciągając ją na powrót we właściwe miejsce. Przynęła się chętna i gotowa. Poczul jej gorący oddech na szyi poniżej ucha, wilgotny język na skórze. Może i nie miała wprawy w tym, co robiła, ale pomysłowości i chęci nie można jej było odmówić. Ani niespożytych zasobów energii.

Oddawali się ars amandi długo i zapamiętali, aż dzwon na świątynnej wieży począł głębokim, dudniącym głosem wzywać wiernych na nieszpory.

*

Hedaard w nabożeństwie nie wziął udziału. Za nic miał, co pomyślał sobie o nim mieszkańcy wsi. W końcu inkwizytor nie miał być pobożny, a pilnować pobożności u innych. I tak też czynił. Zjadł tedy solidną wieczerzę suto zakropioną miejscowym winem dla lepszego trawienia. Ochmistrzyni, pani Ludomira, rzuciła kose spojrzenia to na niego, to na usługującą mu przy kolacji Maję, ale nic nie rzekła, choć ewidentnie miała ochotę. Hedaard popatrywał na nią od czasu do czasu, starając się sprowokować, jego wysiłki ostatecznie jednak okazały się próżne. Kobieta krzątała się wokół, wynajdując sobie zajęcia, byle tylko wszystko mieć na oku, zachowywała wszelako należyty dystans. Zaciskała jedynie wąskie usta, co przy przypominającej papirus cerze i bladosiwych, wilgotnych oczach, nadawało jej upiornego wyglądu. To przez takie właśnie matrony, zgorzkniałe i zmęczone życiem, trzymające się go jednak pazurami, myślał Hedaard, powstawały opowieści o jędzach rzucających uroki spojrzeniem. Nie mógł się powstrzymać od uśmiešku na myśl, że pani Ludomira urosła do rangi demonicznego symbolu. To z kolei wzbudzało pobożną trwogę w ochmistrzyni. Co rusz czyniła ukradkiem X na piersi, w myślach po raz kolejny odmawiając litanie do Aedonei. Koniec wieczerzy powitała z ulgą, długo jeszcze szeptała słowa modlitwy.

*

Śpiew niósł się ze szczytu przy akompaniamencie dzwonek, odbijał od muru okalającego świątynne wzgórze i powracał zniekształcony przez echo.

Hedaard wędrował powoli zwirową alejką pomiędzy omszałymi nagrobkami. Słońce chyliło się ku zachodowi, kładąc coraz dłuższe cienie na drogę. Przebijając się nieśmiało poprzez rosnące wzdłuż muru drzewa, barwiło pastelowymi barwami rzeźbione płyty. Inkwizytor przystanął. Chłonąc wieczorne powietrze podążył wzrokiem za długim pasmem mroku, które brało źródło u podstawy figury Aedonei. Mruknął coś cicho, a potem podążył we wskazanym przez cień kierunku. Brodząc po kolana w trawie, minął gmach świątyni i zatrzymał się obok pochylonego niby starzec, zmurszałego ossuarium.

Trzy Dęby musiała ostatnimi czasy nawiedzić fala nieszczęść, bo pięć świeżych grobów odznaczało się bardzo wyraźnie.

Nawet gdyby Hedaard chciał się zadumać nad kruchością ludzkiego żywota, czego wszak czynić nie miał we zwyczaju, lub też zastanowić nad przyczyną owych licznych przecież zgonów, nie stało na to czasu. Dzwon zagrział nagle, a złowróźnie, raz i wtóry, gdy zaś przebrzmiał dało się słyszeć podniesione głosy. Jacyś ludzie przekrzykiwali się gdzieś blisko, prawdopodobnie u wrót świątyni.

*

– Znaleźliśmy ją na samym skraju lasu – rzekł wąsacz, trzymający migoczącą latarnię. – Już wracać mieliśmy, kiedyśmy krzyki usłyszeli. Co tchuśmy pognali skąd dochodziły głosy, ale za

późno... za późno. Kiedyśmy na polanę wpadli Żyborka już ducha oddała, okrutnie sprawiona, jak widzicie.

Przy bramie u stóp świątynnego wzgórza zebrali się bodaj wszyscy mieszkańcy wsi, łącznie z dziećmi, które teraz spieszenie odprowadzano na bok, by oszczędzić im makabrycznego widoku. Nad zgromadzeniem wisiała martwa cisza. Na sporządzonych naprędce noszach spoczywała młoda dziewczyna, z głową nieomal oddzieloną od tułowia.

– Czemuście tam wcześniej nie szukali? – zapytał ojciec Chryzant, pobladły gwałtownie.

– Szukaliśmy. Dokładnieśmy przeszukali skraj lasu wokół wsi. Tamój też. Przetrzęsaliśmy stawy, chruśniaki, sady. Dotarliśmy aż pod Służniki, kiedy zmierzchać się poczęło i widne się stało, że do świtu już nic nie znajdziemy.

Wielebny pokiwał tylko głową.

– Widzieliście to, co ją zabiło? – Hedaard przyklęknął nad zwłokami, bezceremonialnie rozchylając resztki odzienia by przyjrzeć się pozostawionym śladom.

– W las czmychnęło, kiedyśmy tylko wychynęli spośród kierzy. – Kmieć przezegnał się spieszenie. – Przerwaliśmy posiłek bestii.

Inkwizytor zmierzył odległość między śladami ugryzień kciukiem i palcem wskazującym. Pokręcił głową.

– Imponujący rozstaw szczęk – zauważył. – Nie wygląda to na dzieło wilka, ani rysia.

– Strzyga! – krzyknął ktoś z wianuszka gapiów. – Na Jedynego, biada nam!

– Co do tego nie mam pewności. Musiałbym dokładniej przeegzaminować ciało.

– Prze-co, wasza wielebność? – zapytał wąsacz przyświecając latarnią, by wyłowić z mroku twarz Hedaarda.

– Zbadać, by odkryć dokładną przyczynę zgonu.

– Jakże to tak? Dyć widać, że ją strzyga ubiła. Cóż tu badać więcej?

Inkwizytor wzruszył ramionami. Ruszył nimi raz jeszcze, by poprawić ułożenie eleganckiego surduta.

– Przed chwilą twierdziliście, żeście nie widzieli, co też to było – stwierdził chłodno. – Zanieście nieboszczkę na plebanię, dokonam tam dokładniejszych oględzin.

– Nie lza tak! – zaoponował stojący obok wąsacza chudzielec z wylupiastymi oczami. – Rodzinie trza ją oddać!

– Rodzina może ją odebrać, gdy skończę. Nuże, bierzcie się do roboty! Nie zwykłem dwa razy powtarzać.

Chudzielec z wąsaczem szukali przez chwilę oparcia w spojrzeniu wójta. Nie znaleźli. Z ociąganiem ujęli tedy nosze i podźwignawszy je z ziemi, wolno ruszyli ścieżką. Odprowadziły ich ponure spojrzenia.

– Spokojnej nocy wam życzę, drodzy włościanie – Hedaard rozwał resztę złudzeń co do ewentualnego widowiska. – Radzę wam, dobrze pozawierajcie drzwi i okna. Niechaj Aedonea czuwa nad wami.

Sekcja

– Zastanawia mnie kilka rzeczy – rzekł Hedaard nie odrywając oczu od ciała dziewczyny spoczywającego na stole wielkim niczym plac przed świątynią.

Ułożono ją w gabinecie ojca Makarego wciąż wypełnionym należącymi do niego przedmiotami, których nikt najwyraźniej nie miał serca wyrzucić. Czy też może Chryzant nie odważył się przeciwstawić ochmistrzyni, zapatrzonej w poprzedniego plebana niby w obrazek. Plebania była obszerna, toteż nie było sensu walczyć, zwłaszcza, że obecny kapłan nawet nie bardzo wiedział czym zapelnąć te pokoje, które miał do swej wyłącznej dyspozycji. Wyglądał zresztą na człowieka niezbyt zainteresowanego czymkolwiek prócz wypełniania obowiązków w nadziei na na rychłe odwołanie z wygnania. Trzy Dęby traktował jak przerwę w podróży. Nie rozpakował nawet do końca przywiezionego ze sobą skromnego dobytku. Ojciec Makary musiał być jego całkowitym przeciwieństwem. Komnata była wręcz zaśmiecona górami ksiąg, notatników i papierysk. Lecz nie one były centrum owego małego wszechświata. Stanowiła je przebogata kolekcja zmarłego kapłana. Liczne kamienie, kawałki skorup, starannie oczyszczone i posklejane, albo luzem, w pudłach i

workach. Zasuszone liście, kwiaty, korzenie i całe rośliny, pojedynczo, w pękach, wystające spomiędzy ksiąg i sprasowane, poukładane w gablotach obok nabitych na szpilki motyli i chrabąszczy. Zwierzęta w słojach, jak i wypchane, zajmowały nieliczne wolne miejsca. Do tego wszystkiego dziesiątki zrolowanych map i jedna wielka, wisząca centralnie na ścianie, pokryta chaotycznie równym pismem.

Wtargnęli do tego królestwa, nim przerażona pani Ludomira zdołała zaprotestować. Potem nie miała już odwagi. Żegnała się tylko ukradkiem, gdy na polecenie Chryzanta ze stołu brutalnie zrzucono spoczywające tam dotąd przedmioty, a na ich miejscu ułożono zwłoki Żyborki. Wszystkich prócz kapłana i Semka odprawiono. Na polecenie inkwizytora ochmistrzyni przyniosła ceber z gorącą wodą i ściereczkę, i na tym jej rola się zakończyła. Obmywanie ran zmarłej Hedaard nakazał Chryzantowi, chłopcu zaś zlecił znalezienie pośród rzeczy zgromadzonych przez ojca Makarego papieru, węgla lub grafitu albo gwaszy i pędzelków. Sam zajął się dokładnymi oględzinami ciała martwej dziewczyny, mierząc rany przypominającym cyrkiel przyrządem. Do tego cały czas robił notatki w grubym, oprawionym w skórę brulionie. Przerzywał tylko by dokonać kolejnego pomiaru, bądź wraz z kapłanem odwrócić ciało. Przy tym, wszystko to czynił niezwykle skrupulatnie, sprawnie i beznamiętnie, co nie uszło uwadze jego towarzyszy. Ci, już po chwili owych oględzin, mieli serdecznie dość. Dłużące się minuty w przerażającej ciszy zamieniły się w męczarnię. Żaden z nich nie miał odwagi się odezwać, póki nie uczynił tego inkwizytor, zamykając i odkładając na bok notatnik.

– Zastanawia mnie kilka rzeczy – rzekł, zapatrzony w zeszlone oczy dziewczyny. – Pomijając kwestie wszystkich uchybień i zaniedbań w Trzech Dębach, o których będę musiał złożyć biskupowi raport, intryguje mnie parę spraw. Ewidentnie nie panujesz, ojcze, nad sytuacją, z czego przyjdzie ci się tłumaczyć w kurii. Wszelako, jeśli moja misja tutaj powiedzie się, nadto przebiegać będzie ona gładko dzięki twojej, ojcze Chryzancie, współpracy, pewne bolączki Trzech Dębów, a zarazem twoje, mogą stać się przeszłością i tak zostać potraktowane w moim raporcie. Rozumiemy się? – Odpowiedzią było ledwie skinięcie głowy pobladłego duchownego, zatem Hedaard powtórzył pytanie: – Rozumiemy się, ojcze? Wiedzieć ci trzeba, że bardzo nie lubię się powtarzać, nie zwykłem też ponawiać swoich propozycji.

– Tak, wasza wielbność, rozumiemy się doskonale. – Chryzant otarł spoconą twarz wyciągniętą z rękawa szaty chustką. – Uczynię wszystko, czego wasza wielbność zażąda.

– Wybornie – skwitował inkwizytor okręcając się na krześle. – Jak poszukiwania, Semko?

Młodzian zbliżył się z wielką oprawną w skórę teczką, uzbrojony w naręcze pędzli, ołówków i innych utensyliów malarskich.

– Znalazłem wszystko, o co prosiliście, panie.

– No, no. Bałem się, że z jednym będzie problem, a tu masz, cały arsenał. – Hedaard rozłożył stos przyborów na stole, teczkę zaś na kolanach. Odsłonił czysty arkusz papieru. – Doskonale. Teraz stań tam z lampą, wy zaś, ojcze, weźcie świecznik i oświećcie twarz denatki. Dobrze – szybkimi ruchami dłoni zaczął szkic węglem – wróćmy zatem do rzeczy. Powiedzcie mi, ojcze Chryzancie, jak wygląda sytuacja odnośnie właścicielki zamku Retz oraz wsi Służniki. Tyle baj się nasłuchałem w Lutnej, a i po drodze niemało, że, wyobraźcie sobie, prawie umieram z ciekawości, jaka jest prawda? Najbardziej mnie ciekawi, czemu nikogo ze Służnik, ani samej urodzonej pani Retz, wreszcie nikogo z jej służby nie widziałem na mszy?

– Pani Recz ma swojego własnego kapelana, wasza wielbność – odparł duchowny szybko. – On to odprawia msze dla niej i jej poddanych na zamku.

– Na zamku? A czemuż to? Należą do tutejszej parafii, a zatem tutaj powinni na msze chadzać.

– Jednakowoż jest inaczej, albowiem kapelan pani Recz msze w języku morungijskim dla nich odprawia.

Ręka dzierzająca rysik zamarła ponad kartką papieru. Cichy skrzyp węgla ucichł.

– W języku morungijskim? Jakże to tak?

– Ma na to zgodę biskupa poświadczoną na piśmie...

– Doprawdy? Widzieliście ją, ojcze?

Kapłan spuścił wzrok. Twarz i tonsura w świetle świec mieniły się barwą szkarłatu, poprzecinane ścieżkami wytyczonymi przez kropelki potu. Gdyby mógł, przemieniłby się teraz w kamień, niby ów pielgrzym zmierzający podług legendy ku Żalnikowi Olbrzymów.

– Nie śmiałem nalegać. Skoro ojciec Makary się na to godził, wszystko w prawie było. Musi widział pomniany dokument... Pani Recz jest osobą budzącą szacunek... szlachetnie urodzoną... Nie miałem powodu, aby jej nie wierzyć, czegokolwiek żądać, czy poświadczać. Zresztą regularnie płaci dziesięcinę. Jest też niezwykle hojna dla naszej świątyni. To dzięki niej odnowiliśmy witraże w południowym transepcie...

Przedstawiciel Oficjum gestem dłoni uciął tłumaczenia.

– I to całe złoto z miodów?

– Tak, da się na tym nielichy majątek zbić. Ciężkim jakiegoś towary na zamek wożą przez nią zamówione. Musi tedy dobry być to interes.

Hedaard odłożył gotowy rysunek na bok i przesunął nieco krzesło. Ze sterty wydobytych przez Semka skarbów wybrał jakiś ołówek i energicznie przyczernił spory obszar nowej kartki.

– Pierwszy raz słyszę, a trzeba wam wiedzieć, że słyszałem to i owo – zauważył mimochodem, po krótkiej chwili milczenia, którą Chryzant omal wziął za koniec wielce kłopotliwego dlań przesłuchania. – Pierwszy raz słyszę, aby pobożna, wysoko urodzona dama, w dodatku majątna, na co wszystko wskazuje, mordowała jako strzygą okolicznych wieśniaków...

– Z pewnością nie ona jest strzygą – wtrącił kapłan prędko. Nieco zbyt prędko w ocenie inkwizytora.

– Nie? – Hedaard z wyraźną wprawą kreślił kolejne linie, nadając rysunkowi kształtów i głębi. Jego głos był słodki, nieomal jak miejscowe miody. – Tyle się dziś nasłuchiwałem od chłopów na temat strzygoni ze Służnik, że pewien byłem nieomal, iż cały świat poza Trzema Dębami zamieszany jest przez owe plugawe stworzenia. Poza arcyprałatem i całym duchowieństwem oczywiście, bowiem nas się złe moce nie imają.

– Miejscowi chłopci ciemni są i zabobonni – odparł ojciec Chryzant, nie dostrzegając ironii. – Dla nich każde nieszczęście ma proste przyczyny i proste rozwiązanie. Jeśli czegoś nie rozumieją, oznacza to, że musi być nadprzyrodzone i złe. Nie należy ich o to winić. Miast tego, trzeba rozświetlić mrok, w którym błądzą...

– Proszę, proszę, więc jednak jest w tobie kapłan, ojczu Chryzancie. Chwała Jedynemu, bo już mnie ogarniało zwątpienie! A – co ja w wątpliwość poddaję – biskup Przedślaw zwykł był jako stracone uważać. Jest tedy nadzieja jeszcze! No, ale rzeknijcie mi zatem, ojczu, jak to z tą strzygą w takim razie jest?

– Nie do końca jestem przekonany, że jakakolwiek istnieje, wasza świątobliwość – odrzekł Chryzant ostrożnie. – A przynajmniej czy takowa grasuje w Trzech Dębach. Spodziewałbym się raczej jakowegoś wściekłego wilka, czy rysia, który nie pomny przyrodzonych instynktów zasmakował w ludzkim mięsie.

– Oto dowód, że się mylicie, ojczu – Hedaard wskazał ołówkiem ciało na stole. – Nie widziałem dotąd rysia, ni wilka, który miałby taki rozstaw szczęk. Nawet słynna bestia z Nidermarku, brana za wilkołaka, póki jej wreszcie nie ubito, nie była tak wielka. Nadto szpony żadnego z tych stworzeń nie zostawiają takich śladów – pokręcił głową i odłożył kolejny skończony rysunek. – Obstawał będę przy tym, że rany owe zadała istota nadprzyrodzona, najpewniej strzyga.

Wstał i przesunął krzesło bliżej wielkiego okna, pomiędzy komodę zastawioną popękanymi naczyniami z gliny, a stojak, z którego na pokój swe dostojństwo roztaczał wypchany puszczyk. Pośród skorup ustawił świecę, po czym wrócił do stołu z niewielkim czerpaczkiem wybranym spośród skarbów ojca Makarego.

– Nie mieliście tu jakowego guślarza, czy mądrej baby? – zapytał nabierając wody. – A może zmarł ostatnimi czasy ktoś szczególnie znieawidzony?

Kapłan kręcił tylko głową w odpowiedzi. Semko, także zaprzeczył, kiedy na niego padł wzrok inkwizytora.

– Widziałem kilka świeżych mogił. To wszystko ofiary strzygi?

– Prócz starej Stojsławy. Tak.

Hedaard wrócił na miejsce pod oknem. Wybrał pędzelek i zaczął pokrywać kolejną kartkę farbami.

– A owa Stojsława?

– Ósmy krzyżyk na karku jej ciążył. Zmarła ze zgryzoty. Krótco po tym, kiedy zwiedziała się o śmierci syna, którego to strzyga ubiła.

– I wszyscy oni na tamten świat się wybrali w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

– Tak. Jakby wasza świątobliwość tu był i o wszystkim wiedział.

Inkwizytor w milczeniu malował przez długie minuty. Zdawał się być całkowicie pochłonięty uwiecznianiem subtelnym chiaroscuro śmiertelnej zadumy zmarłej oraz jej zastygłych w bezruchu strażników, rozświetlających ciemność niby wskazujący drogę w zaświaty przewodnicy.

– Cóż, widzę, że więcej spraw jest do rozwikłania w Trzech Dębach niż mi się początkowo zdawało – podsumował wreszcie. – Zajmę się tym od jutra. Oddajcie, ojcze, ciało rodzinie, a Mai kaźcie, aby przygotowała mi łożę.

Tajemnica brata Kastyna

Słońce zdążyło wspiąć się dość wysoko, gdy dotarli na skraj lasu. Przygrzewało przyjemnie w plecy całą drogę ze wsi, kiedy pełną drogą wchodził na łagodne wzniesienie skryte złocącymi się pszenicznymi łanami, mijając przecinające pola miedze i łąki. Dotarli pomiędzy pierwsze drzewa w sam czas, by skryć się pod baldachimem z liści, kiedy promienie słoneczne z przyjemnych poczęły stawać się nieznośnymi, zwiastując południe. Trakt dość gwałtownie opadał w dół, niby tunel zagłębiający się w soczystej, okraszanej cieniem zieleni. Maja prowadziła, jakby szli na majówkę, nie ekshumację zwłok. Wkraczając do lasu włożyła na głowę upleciony po drodze wianek z polnych kwiatów, a słomkowym kapeluszem leniwie się wachlowała. Większość czasu śpiewała, a że głos miała przyjemny, ani Semko, ani Hedaard nie protestowali. Zamilkła dopiero kiedy ścieżka zaprowadziła ich w dół, ku sporej polanie, skrajem której płynął strumyk. Pośrodku polany pysznił się głaz postawiony na sztorc, tak wielki, że gdyby obok niego stanęło dwóch mężczyzn, jeden drugiemu na ramionach, wciąż by go nie przewyższyli. Z łatwością za to mogliby go objąć. Kamień nosił ślady obróbki, zatarte jednakowoż przez czas i skryte pod mchem. Hedaardowi przypominał jeden z pogańskich idoli, jakich kilka widział w Tremandzie, Semkowi zaś, o czym wstyd było mu się przyznać nawet przed sobą, wzwiedziony fallus. I nic dziwnego, skoro całą drogę przypatrywał się ukradkiem okrytej zwiewnym gieżem dziewczynie, która na dodatek wcale nie kryła się ze swą seksualnością. Jednak ku rozpaczy młodziana żaden ze znaków mowy jej ciała nie był skierowany do niego. Wędrująca wzdłuż strumienia w swym wianku, brodząca w smugach słonecznego światła, wyglądała niczym kapłanka dawnych bóstw, lub nawet jak jedna spośród nich. Zboczyła z wytyczonej koleinami drogi i powiodła towarzyszy dalej, ledwie widoczną w gęstym poszyciu ścieżką. Nie uszli jednak daleko. Otworzyła się przed nimi kolejna, tym razem niewielka polana. Strumyk rozlewał się tu szerzej, zwalniając bieg, a teren był wyraźnie podmokły.

– Jesteśmy na miejscu.

– Nigdy wcześniej tu nie byłem. – Semko potarł piegowaty nos i oparł się na przyniesionym rydlu.

– W wielu miejscach jeszcze nie byłeś – zaśmiała się dziewczyna. – Strachliwy jesteś. Nie wyściubiasz nosa poza wioskę odkąd się nasłuchałeś bają o upiorach, południcach i wieśniakach ze Służnik.

– Bają! Samaś mi to opowiadała jako szczerą prawdę!

– A ty jesteś na tyle głupi, żeby wierzyć we wszystko!

– Dość – uciął Hedaard krótko, choć bez szczególnej surowości, najwyraźniej także rozbawiony. – Gdzie go pogrzebali, Maju?

– Tam – wskazała stertę naniesionych przez wodę gałęzi, liści i butwiejących kawałków drewna.

– Jesteś pewna? Chciało im się grzebać w tej ziemi?

– Jestem. Przecie widziałam.

– Dobrze. Semko, uprzątnij tam, a potem bierz się za rydel.

Chłopak posłusznie odgarnął na bok nagromadzone szczątki. Pod spodem rzeczywiście widać było ślady kopania

Hedaard przez chwilę z zaciekawieniem obserwował postępy w pracy, a gdy okazało się, że grób nie jest płytki, usiadł na przewróconym pniu i sięgnął po piersiówkę.

– Jak to się w ogóle stało, że podpatrzyłaś jak go grzebią?

Maja usiadła obok, swój kapelusz zawiesiła na sterczącej obok gałęzi.

– Byłam na polanie Svaruna...

– Tej gdzie stoi posąg bóstwa? – Hedaard wskazał głową kierunek, z którego przybyli.

– Tak. Często tam chodzę na spacer. Lubię spokój i ciszę. Nagle usłyszałam czyjeś głosy. Podkraśliłam się bliżej i zauważyłam kilku mężczyzn grzebiących w ziemi, a obok skrwawione ciało brata Kastyna...

– Rozpoznałaś tych ludzi?

– Nie, nie podeszłam na tyle blisko, a i gałęzie mi przeszkadzały. Ale byli z Trzech Dębów...

– Skąd wiesz?

– Nie szwargotali jak ci ze Służnik.

– Aha? A skoro ich nie rozpoznałaś, to jak możesz być pewna, że grzebali właśnie brata Kastyna?

– Bo był bliżej? I leżał na ziemi? Tak, że doskonale mogłam mu się przyjrzeć – wzdrygnęła się i wyjęła piersiówkę z dłoni Hedaarda. Nie protestował.

– Znałaś go? Skąd wiesz, że to akurat on?

Maja otarła usta wierzchem dłoni.

– Poznałam go jak przyjechał do Trzech Dębów końcem stycznia. Został aż do połowy lutego, bo śnieg znów zawałił drogi.

– Mówisz: w styczniu? Miał tu być koniec marca i wtedy zaginął.

– Pod koniec marca przyjechał znowu.

– Czyli był w Trzech Dębach dwa razy? Dziwne.

Wzruszyła ramionami.

– Ano był. Ciągle pono w świątyni siedział. Może ze dwa razy w ogóle z nim rozmawiałam. Uprzejmy, nie powiem, ale taki jakby ciągle nieobecny był.

– Mniejsza o to. Wróćmy do jego inhumacji. Mówisz pokrwawiony był?

Skinęła głową.

– A skąd wiesz, że to nie oni go zabili?

– Nie słyszałam żadnych krzyków ani nic. Jakby się bili, to by pewnie ktoś krzyczał. A tyle, com się mu zdążyła przyjrzeć, to wyglądał jakoś tak sztywno i miał pogryzione ramię...

– Niech będzie. Zresztą wkrótce się przekonamy. Jak tam, Semko?

Chłopak przerwał pracę. Wylał spocone czoło krawędzią koszuli.

– Same kamienie teraz, wasza wielbność. A spod nich coś już jakby prześwituje...

– To ostrożnie, chłopcze, bo jak widzisz, nie wziąłem miecza!

Młodzian zawahał się, sięgając szybko po szpadel, który odłożył kiedy trafił na kamienie. Chwycił go za koniec niby oręż, a potem wbił w ziemię zawstydzony, gdy Maja parsknęła śmiechem.

– Załóż rękawice, waszmość i kontynuuj – zachęcił Hedaard stając nad płytką jamą. Z ziemi zaczął wylinać się zarys ludzkiego ciała. Ku zadowoleniu inkwizytora bagienna gleba litościwie powstrzymała proces rozkładu. Sprawiała, że choć widok nie należał do przyjemnych, wszyscy bez trudu zatrzymali śniadanie w żołądkach. Lecz nie to było najważniejsze. Zwłoki wyglądały, jakby zagrzebano je ledwie wczoraj, toteż nie było problemu zarówno z ustaleniem tożsamości, jak i obeerzeniem ran. Hedaard przykucnął na brzegu wykopu i oblał twarz nieboszczyka wodą, podczas gdy chłopak, bez specjalnych oporów, pracował nad odsłonięciem reszty ciała.

– Mówicie, że to, bez cienia wątpliwości, brat Kastyn?

Oboje przytaknęli.

– Nie zabiła go strzyga.

Semko przerwał wyrzucanie mokrej ziemi.

– Jak to? A te rany? – Wskazał ślady kłów przeświecające spod poszarpanej szaty na ramieniu i boku trupa.

– Wygląda mi na zwykłe drapieżniki. Dobrały się do niego, ale nie poucztowały sobie. Ktoś musiał je spłoszyć.

– Skoro nie ubiły go wilki, ani strzyga, to co? – Maja, nieco pobladła, przykucnęła obok inkwizytora, zaglądając do jamy. – Sam się tak pokąsał na złość biskupowi?

– Przecież od razu widać...

– No, ja nie widzę...

– Ani ja.

Hedaard pugiinałem wskazał pierś zmarłego.

– Nic wam ta plama nie mówi?
– Krew... – wyszeptał Semko, odchrząknął i powtórzył głośniejsze.
– Ktoś go zamordował?
– Niezbyt wprawna osoba jak widzę – inkwizytor czubkiem sztyletu odrzucił na bok wilgotną materię szaty. – Ostrze ześlizgnęło się po mostku i żebrach i ukosem sięgnęło serca. Gdyby nie szczęście, zabójcy, nie Kastyna, cios nie byłby śmiertelny. A tak, zmarł omal natychmiast.
– Ale kto miałby go zabić? – zdziwiła się Maja. – I z jakiego powodu?
– Ha, wy mi powiedzcie.
Dziewczyna wzruszyła ramionami.
– Nie mam pojęcia. Ledwo go poznałam, choć mieszkał na plebanii. Mówiłam, że nikomu się nie narzucał. Sprawiał wrażenie świętobliwego męża.
– Jeden motyw na pewno się znalazł.
– Jaki?
– Złoto. To oczywiste.
– Po co ktoś miałby go zabijać dla złota z Trzech Dębów? Przecież ani tego specjalnie wiele a i od razu wiadomo gdzie szukać. Toć przysłali waszą świętobliwość. Ludziska też by się szybko zorientowali, że ktoś ma więcej złota, niż powinien. Nic się we wsi nie ukryje.
– Dlatego, jak mniemam, wykryjemy sprawcę.
Hedaard wstał i odwrócił się plecami do grobu, wyraźnie stracił zainteresowanie zarówno nim, jak i jego milczącym lokatorem.
– Cóż, co wiedzieć chciałem, wiem. Pora wracać. Semko, zostaniesz tutaj przypilnować brata – zarządził. – Przysłę kogoś po niego. Należy mu się porządny pochówek.

*

– Ciekawe – rzekł Hedaard, kiedy ściana zieleni zawarła się za ich plecami i znów zanurzyli się w słoneczne promienie. Obszedł wolno samotny obelisk, przystając kilkakrotnie by wyłowić z trawy jakieś drobne przedmioty.
– Miód – stwierdził obwąchując jeden z nich. – Nic zadziwiającego w tej okolicy, gdyby nie kontekst znaleziska. – Podał Mai większy fragment glinianej skorupy zdobionej z zewnątrz esowatym motywem, resztę drobniejszych odłamków rzucił ponownie w trawę.
Dziewczyna stała bez ruchu z palcami zaciśniętymi na znalezisku i spuszczonego wzrokiem. Trudno było odgadnąć cokolwiek z wyrazu jej twarzy – jeśli coś ją zdradzało, to na pewno nie mimika.
– Wiem, że jesteś błyskotliwa, ale nawet nie staraj się teraz niczego wymyślać – rzucił Hedaard. Z zadartą głową przypatrywał się kamiennemu idolowi. I jemu wyraźnie odcinając się u szczytu głowa z zatartymi rysami twarzy na każdej z czterech ścian, kojarzyła się nieco fallicznie. Pewnie taki zresztą był zamysł bezimiennego twórcy. – Być może nie zwróciłbym uwagi na ten kamulec, gdyby nie resztki wot. A trzeba ci wiedzieć, że widywałem już takie posągi, choć wasz nie zachował się najlepiej. – Powiódł dłonią wzdłuż wypełnionej mchem linii, starając się odgadnąć jej rysunek. – Zastanów się dobrze nad tym, co mi powiesz. Zależy od tego więcej niż glejt do wielkiego świata. Przemyśl sobie wszystko, nie spieszymy się nigdzie.
Dziewczyna milczała. Wciąż ścisnęła w dłoniach kawałek naczynia, niby amulet, który miał pomóc odnaleźć cudowne rozwiązanie.
– Nie mogę... Jesteś... wasza wielebność jest inkwizytorem. Wiadomym jest, co się stanie, jeśli wszystko wyjawię.
– Wiadomym jest raczej, co się stanie, jeśli nie wyjawisz – odparł Hedaard wciąż pochłonięty studiowaniem ledwie dostrzegalnej płaskorzeźby. – Wierz mi, ani lochy, ani metody przesłuchań Świętego Oficjum nie należą do najprzyjemniejszych. Ale możemy tego wszystkiego uniknąć...
– Jak?! – wybuchnęła. Mimo upału załala ją fala zimna, ramiona zaczęły trząść się niczym w febrze. – Mam wszystkich wydać, żeby siebie ocalić?
– A choćby. I tak chciałaś opuścić to miejsce.
– Ale nie za taką cenę!
– Ja i tak do wszystkiego dojdę. Z twoją pomocą, czy bez – obwieścił złowieszczą inkwizytor. – Tyle, że w tym drugim wypadku raczej ci się to nie spodoba.

– Żałuję dnia, kiedyś tu przyjechał! – syknęła, ale nie za głośno. Wciąż miała na uwadze Semka, nie chciała, żeby dzieciak słyszał o wszystkim, ani się czegokolwiek domyślił. – Żałuję, że tyle ci powiedziałam!

– Jeszcze nie masz czego żałować. Trochę zaufania, Maju. Chciałaś ruszać w świat pod moją opieką, a nie potrafisz mi zaufać? Jak to zatem sobie wyobrażałaś? Gdy wskoczyłaś do balii nie myślałaś o tym, że możesz stracić więcej niż wianek? – Obszedł posąg przesuwając po nim otwartą dłoń. Cień idola padł na jego twarz. – Wiem, o czym teraz myślisz...

– Tak?! O czym niby?

Roześmiał się. Oczy lśniły mu niczym bryły lodu wciśnięte w ludzką twarz, były to oczy drapieżnika. Demona w ludzkiej skórze.

– Jak by mnie tu cicho zgładzić... Przynajmniej ja bym o tym myślał, gdybym był tobą. Ale posłuchaj, naprawdę nie mam zamiaru wystawiać na próbę twojej lojalności wobec tych wszystkich ludzi – poklepał kamień – i niego. Doceniam to. Nie lubię osób sprzedajnych i fałszywych. Z gruntu gotowych sprzedać każdego za garść srebrników. Teraz wszelako znalazłaś się w sytuacji bez wyjścia. Twoja lojalność niczego nie zmieni, a musisz nauczyć się nowej. Względem mnie. Ta zaś ma być silniejsza od wszystkiego. Wiedz jednak, że działa to w obie strony. Ty zaufasz mi, ja zaufam tobie.

Dziewczyna zadygotała ponownie.

– Co mam ci powiedzieć, skoroś sam wszystko odgadł? – jęknęła.

– Dobrze mówisz. Odgadłem. A nie chcę zgadywać, chcę być pewny. Czcicie tutaj dawnych tremandzkich bogów. Cała wieś, czy tylko niektórzy?

Czuła, że się łamie. Nie chodziło tylko o to, że się bała. Po prostu chciała ufać. Chciała się nie pomylić co do tego mężczyzny. Chciała, żeby nie wszystko zostało stracone. Kurczowo uczepiła się myśli, że w ten sposób właśnie ocali ile się da.

– Nie wszyscy. – Słowa z trudem przechodziły przez gardło, do oczu cisnęły się lzy wstydu. – Młodzież i najstarsi.

– Ojciec Makary wiedział o tym, prawda?

Kiwnęła głową. Wianek zsunął się na czoło, poprawiła go i otarła policzki.

– Jak długo już to trwa?

– Nigdy... nigdy tak na prawdę nie przestało. Ale ożyło w dwójnasób, kiedy ojciec Makary znalazł i odkopał posąg. To było jeszcze przed moim narodzeniem.

– I przez cały ten czas... – Hedaard zaniósł się śmiechem. Śmiał się długo, nie mogąc złapać oddechu. Dziewczyna patrzyła na niego nic nie rozumiejąc.

– I co teraz? – zapytała, a jej głos nabral poprzedniej hardości. – Każesz wszystkich spalić na stosach? Zapłacisz mi trzy złote soldary, jak kupcowi, który sprzedał Aedoneę?

– Nie.

– Nie? A nie taki jest twój obowiązek? Jesteś przecież przedstawicielem Świętego Oficjum.

– I cóż z tego?

– Nie rozumiem.

– A cóż tu do rozumienia?

– No, jesteś w końcu obrońcą wiary, czy nie? Masz walczyć z jej wrogami. A takimi przecież są apostaci, heretycy i kacerze.

Inkwizytor oderwał się od monolitu i ruszył powoli ścieżką w górę.

– Chodź – obejrzał się. – Tu mogą być jakieś wścibskie uszy.

Maja zakasała gieżło i ruszyła za nim szybkim krokiem.

– Zaufanie, zaufanie – mruknął Hedaard, kiedy zielone sklepienie ustąpiło błękitowi nieba. Zwolnił i zerwał na wpół dojrzały kłos, pozwolił dogonić się dziewczynie. – Nie wyznaję żadnego spośród bogów, ale jednego z nich jestem zaciekłym wrogiem. Tego – kontynuował nie zwracając uwagi na jej usta szeroko otwarte ze zdumienia – który sam siebie nazywa Jedynym i uzurpuje prawo do bycia takowym. Nawet nie wyobrażasz sobie, jakie możliwości otworzyły się przede mną, odkąd wstąpiłem na jego służbę.

Zebranie się do kupy zabrało Mai zaskakująco mało czasu. Wypuściła zmiętą materię szaty z garści i zrównała krok z inkwizytorem.

– Hed – zaśmiała się – chyba cię kocham!

– Szybko się zakochujesz – zauważył sarkastycznie.

– W tobie? – spoważniała. – Obawiam się, że przekłeta zostałam od pierwszego wejrzenia.

- Nie mówisz chyba poważnie?
 - Kto wie? Powiedz mi, skoro tak naprawdę nie słyszysz Jedynemu, czego właściwie szukasz w Trzech Dębach?
 - To akurat niech zostanie na razie tajemnicą.
 - Przez chwilę szli w ciszy. Zewsząd dochodziły jedynie głosy umykających w zboże bażantów i głośnie trele skowronków. Z pobliskiego drzewa z niesamowitym harmidrem poderwało się stado kawek.
 - Hed... – podjęła w końcu Maja, z zadziwiającą u niej nieśmiałością – czy zgodziłbyś się zatem jutro pójść ze mną na noc Svaruna?
 - Nie znasz żadnego młodzieńca odpowiedniejszego ode mnie?
 - Odpowiedniejszego?
 - Takiego, co jak ty wychwała te wasze bóstwa.
 - To akurat nieistotne.
 - Doprawdy?
 - Tak. Nie chodzi tu o żadne modły.
 - O co w takim razie?
 - Zrozumiesz jutro.
 - Niech będzie.
 - Czy to oznacza „tak”?
 - Zobaczysz jutro.
 - W takim razie zabiorę cię zaraz po tym, jak się zacznie festyn.
- Festyn? Ach tak, jutro solstycjum. Noc świętej Hildegardy.

Przedwczesny pogrzeb

Oba pogrzeby odbyły się równocześnie.

Późnym popołudniem na świątynnym wzgórzu mieszkańcy wioski zebrali się by odprowadzić w ostatnią drogę Żyborkę oraz brata Kastyna. Wyglądało na to, że przyszli wszyscy i, że nikogo nie zdziwił pogrzeb braciszka. Pojawiły się nawet szeptki na temat rychłego wyjazdu inkwizytora, skoro odkrył tajemnicę zaginięcia biskupiego poborcy. W rzeczy samej Hedaard zaszczycił uroczystości żałobne swoją obecnością, wszelako nigdzie się jeszcze nie wybierał. Obserwował z uwagą zgromadzonych, w miarę upływu czasu, wyraźnie bardziej zainteresowany żywymi, niż tymi, których żegnano. Kiedy jednak ojciec Chryzant począł wychwalać cnoty zmarłych inkwizytor oddalił się od zgromadzenia, czy to znudzony prostymi słowami, czy to zaintrygowany jakimś nowym znaleziskiem. Oczywiście jego absencja została od razu zauważona, wszelako nikt nie odważył się jej komentować. Przynajmniej nie teraz. Obserwowano, jak krąży wśród najnowszych nagrobków. Zatrzymywał się przy każdym, nie widziano jednak, by składał ręce do modlitwy. Nic z tych rzeczy. Przyglądał się kolejnym stelom i prostym pomnikom, niby kuriozom, aż wreszcie przy jednym przyklęknął. Znowu nie dla modlitwy. Wywołując zgorszenie tych, którzy byli zwrócenii do niego twarzami i niepokój wśród tych, którzy, stojąc tyłem mogli tylko obserwować reakcje innych. Sporo osób zaczęło się tedy odwracać. W ciszy obserwowano, jak Hedaard obmacuje jedną z płyt, a potem dobywa skądś niewielki kajecik i coś w nim szybko zapisuje. Nawet mistrz ceremonii urwał rozkojarzony, wlepiając oczy w przedstawiciela Świętego Oficjum. Ten zaś, bez cienia skruchy na twarzy, niespiesznie podszedł do żałobników i stanął u stóp owiniętych w całuny zwłok. Kilka matron uczyniło szybkie X na piersiach, ale nadal nikt nie ośmielał się nic rzec. Nawet Chryzant. Zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Kontynuujcie, ojcze.

Kapłan spojrział na boki, potem do trzymanego w dłoni modlitewnika.

– Niechaj Jedyny przyjmie dusze tych oto grzeszników, których ciała dziś mu oddajemy – głos, zrazu niepewny, z każdym słowem nabierał mocy. – Ulepieniście z gliny, dziś zwracamy was ziemi. – Wzniósł dłonie ku niebu w dramatycznym geście, wszelako palec utkwiony w na wpół zamkniętej książeczce zepsuł cały efekt. – Módlmy się! Niechaj ci, których dusze powierzamy Bogu, dziś jeszcze zasiądą u jego boku przy wieczerzy. Aby światłość ich wyprowadziła z grzechu wprost na łono Ojca. Niechaj i nam ona świeci, byśmy zmierzali ścieżką prawości, wystrzegali się występku i zasłużyli na

wieczne szczęście w królestwie niebieskim! W imię Jedyne go i Aedonei, Jego córki, niechaj tak się stanie!

– Niechaj się stanie! – popłynęło zewsząd gromko.

Na znak duchownego zwłoki opuszczono do grobów. Mieszkańcy Trzech Dębów tymczasem rozciągnęli się w korowód. Każdy z nich, od ledwie trzymających się na nogach starców, po najmłodsze dzieci, zatrzymywał się, aby cisnąć do każdej z jam po garści ziemi.

– Wybaczcie, wasza wielbność, niestosowną porę – ozwał się ktoś przyciszonym głosem za plecami inkwizytora – ale chciałbym na słówko, jeśli można?

Hedaard odwrócił się. Tym, kto go zaczepił, był wójt Trzech Dębów.

– I owszem, można. Pozwólcie.

– Paskudna sprawa z tym bratem Kastynem. Całe szczęście, że wszystko mamy już za sobą.

Hedaard spojrział z ukosa, nie skomentował.

– Do rzeczy, czego wam trzeba, wójcie?

– Teraz, kiedyście już sprawę wyświecili, wasza wielbność, spieszno wam pewnie do domu. Znaczący, ojcu biskupowi relację zdać. Wiem, że pora to niezręczna, atoli nalegać będę, abyście dzień jeszcze zostali, by razem z nami Noc świętej Hildegardy uczcić...

– Jakież obchody planujecie?

– W rzeczy samej. Jak tradycja i dobry obyczaj nakazują...

– Gwoli ścisłości, sprawa brata Kastyna nie została jeszcze wyjaśniona. Zamierzam tedy zabawić czas jakowś w waszym uroczym siole.

– Oznacza to zatem, że wasza świątobliwość uświetni swoją osobą spotkanie najznamienitszych osobistości w okolicy, jakie rokrocznie w moim domu się odbywa?

Inkwizytor położył dłoń na ramieniu rozmówcy.

– Dobrze rozumiecie, wójcie. Doskonała okazja to będzie, aby pogawędzić o tym i owym w szerszym gronie. Pewien jestem, że znajdziemy wiele wspólnych tematów.

*

Wszelkie plany na popołudnie wzięły w łeb, albowiem niedługo po uroczystościach żałobnych od północnego zachodu nadeszła burza. Pełniący funkcję grabarzy włóścianie musieli się niezwykle spieszyć, by zdążyć z zasypaniem grobów przed deszczem. I tak im się nie udało. Hedaard obserwował z okna, jak umykają w dół stoku ku bramie, gnani przez nadchodzącą nawałnicę. Ich przekleństwa dało się słyszeć mimo gniewnych pomruków żywiołu. Kiedy zrobiło się ciemno, odszedł od okna. Zapalił świecę i napełnił kielich miodem. Tak wyposażony zszedł do gabinetu ojca Makarego. Nie zamierzał zachwycać się zgromadzonymi zabytkami – przynajmniej nie dzisiaj. To, co go w tej chwili interesowało, to zapiski wielce oryginalnego ojczulka. Nie naukowe rozprawy o znalezionych tam i sam, wygrzebanych z ziemi przedmiotach, czy złapanych chrabąszczach albo innych szkodnikach. Liczył na jakiś dziennik, czy pamiętnik. Coś pomocnego w zrozumieniu, co dzieje się w Miodowej Dolinie. I nie przeliczył się. Dziennik ojca Makarego odnalazł niemal od razu pośród szpargałów zrzuconych ze stołu poprzedniego wieczora. Był to okazałej grubości brulion, w oprawie z bydłowej skóry wzmocnionej stalowymi klamrami. Zabezpieczał go wymyślny zamek, który ustąpił po chwili majstrowania w nim cienkim wytrychem. Notatki zapisano w staroimperialnym, co stanowiło niejaki zabezpieczenie przed niepowołanymi osobami, z pewnością przed mieszkańcami Trzech Dębów, jednak nie mogło być przeszkodą dla Hedaarda. I już po krótkiej lekturze inkwizytor żałował, że nie zabrał się za pamiętniki ojca Makarego wcześniej. Nie wyjaśniały wszystkich zagadek Miodowej Doliny, ale rzucały na nie wiele światła.

*

Ku oburzeniu ochmistrzyni Hedaard zaczął sporządzać jakieś zapiski jeszcze w trakcie wieczerzy. Tym razem pani Ludomira nie zamierzała przyglądać się biernie.

– Obyczajnie jest nie czynić takich rzeczy przy stole, wasza wielbność – rzekła, zbierając się na odwagę.

– Jakich rzeczy? – zapytał inkwizytor surowo, zamoczył pióro w kałamarzu umieszczonym między porzuconymi sztućcami a salaterką z mizerią.

– Tego, co wasza wielebność właśnie czyni – kobieta odłożyła starannie nóż i widelec, zadbawszy o ich odpowiednie ułożenie, po czym ze zgorzeniem wskazała notatnik rozłożony w miejscu należnym talerzowi – miast zjeść ze wszystkimi jak nakazuje dobre wychowanie i boskie przykazania, a dopiero wrócić do pracy...

– Zwykle zapisywałem myśli od razu, kiedy nadchodzą – odparł Hedaard, sięgając po kielich z winem, zdziwiony, że w ogóle chce mu się odpowiadać. – Zapobiega to utracie wielu cennych wniosków.

– Atoli nie podoba się Bogu, ni współbiesiadnikom – nie ustępowała ochmistryni.

– Działam w służbie Boga, tedy wszystko co czynię, jemu się podoba.

Pani Ludomira szukała spojrzeniem wsparcia ze strony ojca Chryzanta, formalnego gospodarza domu i duchowego przewodnika wszystkich wiernych w dolinie, ten jednak milczał ze wzrokiem wbitym w talerz. Po przeciwnej stronie stołu Semko z napięciem wodził wzrokiem od niej do przedstawiciela Świętego Oficjum. O tak, ziarno, trafiało na podatny grunt, myślała z goryczą ochmistryni. Zaiste, czerpiąc z takich wzorców, przed młodym światłana przyszłość.

– Wasza świątobliwość wie lepiej – podsumowała, wstając od stołu. – Pozwoli jednak w takim razie, że sprzątnę?

Hedaard machnął dłonią obojętnie. Rozłożył przed sobą brulion z zapiskami zmarłego kapłana i na jego podstawie coś spiesznie notował. Kompletnie zignorował krzątanicę gospodyni i ciche wymknięcie się ojca Chryzanta. Towarzystwa dotrzymał mu tylko Semko. Snuł się po komnacie, jakby chciał zagaić rozmowę, nie wiedząc wszakże od czego zacząć. Wreszcie stanął w oknie obserwując świat pograżający się w ciemnościach. Jego okrzyk zabrzmiał równie nieoczekiwanie i absurdalnie, jak słowa, które niósł:

– Wasza wielebność! Ktoś grabi mogiły!

Hedaard poderwał się od stołu przewracając kałamarz, wylewając atrament wprost na notatki. Rzucił coś krótko w języku, którego Semko nie znał, ale i tak zabrzmiało dla niego jak przekleństwo. I to wyjątkowo plugawe.

– Gdzie?! – Hedaard błyskawicznie dopadł okna.

– Tam! Niech wasza wielebność spojrzy w dół! Tam, gdzie nowe groby!

Rzeczywiście, w gęstniejącym mroku, przy świeżo usypanej mogile majaczyły jakieś sylwetki.

– Zbieraj się, Semko. – Inkwizytor oderwał twarz od szyby. – Przejdziemy się sprawdzić, co to za hieny.

Nie tracąc czasu zbiegli do hallu. Hedaard chwycił po drodze tylko rapier i krócięcę.

– Umiesz tym się posługiwać? – zapytał wręczając samopół chłopcu.

– Umiem, wasza świątobliwość.

– Dobrze. Jeśli zaczniesz się coś dziać wystrzel w niebo. Zrozumiałeś? W niebo. Nie próbuj trafić nikogo, bo jeszcze mi plecy podziurawisz. Po prostu wypal, by narobić huku.

– Tak jest, wasza świątobliwość.

– Doskonale, chodźmy zatem.

Wyszli w wilgotną ciemność i stanęli na ganku, by dać przywyknąć oczom. Gniewne odgłosy burzy wciąż dochodziły z oddali, wsparte krótkimi błyskami raz po raz rozświetlającymi wzgórza. Hedaard ruszył w dół między szpalerem nagrobków a gmachem świątyni, skryty przed wzrokiem przez jej smolisty cień. Semko drepcząc za nim zastanawiał się, jak to możliwe, że choć szli dość szparko, słyszał tylko własne kroki. Zdawało mu się, że mokra trawa i kałuże uwzięły się tylko na niego. Zatrzymali się, gdy z chłupotem stanął po kostki w mętnej chłodnej wodzie. Inkwizytor syknął cicho i wyjął broń z dłoni swego pomocnika. Odciągnął kurek i wręczył mu ją ponownie.

– Stój tutaj i czekaj. Gdyby coś się działo, strzelaj w niebo, a potem zmykaj na plebanię. Pojales?

Nie czekając na odpowiedź, albo, co też Semkowi wydało się pewniejsze, bez problemu dostrzegając w ciemnościach jego kiwnięcie głową, ruszył dalej. Szerokim łukiem ominął widoczne, teraz już jak na dłoni, postaci przy rozkopanym grobie i stanął pod murem obok wiekowego klonu, kilkanaście kroków za plecami cmentarnych hien. Mógł się im wreszcie przyjrzeć bez większego trudu. Nocni goście przyświecali sobie lekko tylko przysłoniętą latarnią, błędnie mniemając, iż postawienie jej tuż za jednym z nagrobków wystarczy, aby nie była widoczna ze szczytu wzgórza. Z gałęzi i gęstego listowia za kołnierza inkwizytora skapywały krople wody, czekał jednak cierpliwie wsłuchany w zgrzyt rozcinającego ziemię szpadla. Nie rozpoznał dzierżącego rydel osiłka, ani

wspartego na oskardzie kubek w kubek podobnego doń draba. Za to wystającego spod kaptura, zaczerwienionego, długiego nosa trzeciej osoby nie dało się pomylić z niczym. Praca mijiała w milczeniu do chwili, kiedy osilek odsłonił, dość niefrasobliwie zresztą, to, czego szukali. Wtedy stara podniosła latarnię i zajrzała do jamy, jakby nie była pewna, czego się spodziewać.

– No, synek – zakomenderowała – kończ, bo do dom trzeba.

Niebiosa rozświetliły na mgnienie oka uniesiony w górę rydel. Dał się słyszeć nieprzyjemny dźwięk stali tnącej ciało, z chrzęstem wcinającej się pomiędzy kości, a potem wszystko utonęło w dochodzącym z oddali grzmocie.

– Tego drugiego, matuś... może też by... dla pewności...? – zapytał ten z oskardem, gdy zapadła cisza. Bliźniak zabrał się za zrzucanie ziemi do grobu.

– Ot, i dobrze prawisz, synciu. Chwytaj się roboty.

Syncio posłusznie stanął nad drugą mogiłą i zaczął uderzać w nią oskardem, ściągając wierzchnią warstwę ziemi ku sobie. Szło mu jednak niesporo. Lepka niczym ciasto glina co rusz zostawała na narzędziu. Klął i mamrotał pod nosem, zupełnie nie jak porządny Aedoneita, nie przejmując się najwyraźniej również obecnością matki. Praca tak pochłonęła braci, że nie dostrzegli Hedaarda. Zobaczyła go stara, za późno jednak, by umykać.

– Chwała Jedynemu – rzekł inkwizytor, stając w kręgu światła, pozwalając im dokładnie się przyjrzeć obciążającemu pas rapierowi. – Co też dobrego czynicie, boże owieczki?

Śliwonosa zamarła, zapominając języka w gębie. Jej synowie, niby dwa golemy, skamienieli w pół ruchu, z narzędziami w dłoniach. Czekali na komendę. O tym, że są żywymi stworzeniami świadczyły tylko błyszczące oczy i zacięte miny na zarośniętych dziczą szczecina obliczach.

– To, co uczynić należy – odparła stara, szybko odzyskując kontenans.

Hedaard pokiwał głową. Zdjął lewą dłoń z rękojeści broni i skrzyżował ręce na piersi. Milczał długo przypatrując się szybko postępującej pracy. Synkowie zostawili gadanie matce, sami zaś wzięli się do roboty.

– Profanacja zwłok to świętokradztwo i grzech śmiertelny. Nie wiecie tego, dobra kobieto? – zapytał wreszcie uśmiechając się przy tym jakby gawędzili przy miodzie o zwiastującej obfite plony pięknej aurze.

– Czynimy jeno co trzeba – odparła starucha, popatrując z ukosa.

– Co trzeba?

– Ano. Chłopi w Trzech Dębach, jako te owce głupie, sami pchają się w wilcze paszcze. Głusi som na rozumne słowa.

– A jakie to słowa, dobra kobieto?

– Zło rozpełzło się po dolinie przeto walczyć z nim trzeba, nie zaś czekać potulnie jako te jagnięta prowadzone na rzeź. – Śliwonosa wskazała sękatym paluchem niebiosą, po których płynęły atramentowe chmury. Najwyraźniej lubiła metafory.

– Grzech się z tym nie zgodzić. – Hedaard, kiwnął głową. – Zapomnieliście o czymś jednak, dobrodziejko.

Znów błysnęło. Oczy starej zaświeciły niby u kota.

– O czym takim?

– Od takich spraw jest przebywający jak raz we wsi inkwizytor. Drugi raz was upomnieć muszę, dobra kobieto – głos Hedaarda nabral złowieszczonego tonu. – Trzeciego razu nie będzie.

– Dyc czekać nie lza było. Łby im trzeba pourzynać, nim z grobów wyleżą. Nie chcielim świętobliwej osoby po nocy kłopotać.

– Następnym razem lepiej kłopczie, bo i waszym głowom co złego może się przydarzyć.

– Matuś – zawołał jeden z synów, przerywając niezręczną, ołowianą ciszę, jaka zapadła po tych słowach – wygrzebalim drugiego. Co z nim czynić?!

Śliwonosa spojrzała na inkwizytora niepewnie z głębin kaptura. Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

– Ciachaj, synek!

– Bratu Kastynowi nie trzeba było głowy odejmować – rzekł Hedaard, kiedy rozkaz kobiety został wykonany; uśmiechnął się sardonicznie – ale skoroście się już tyle napocili...

– Jak to, nie trzeba?

– Tyle czasu leżał w mogile ciemnej i nie szkodził, to teraz by sobie nagle przypomniał?

Starucha skinęła głową ze zrozumieniem.

- Wasza świętobliwość, a nie moglibyście jeszcze jakowegoś egzercyzmu odprawić?
- Jak to? Nie ufacie waszym sposobom?
- Ostrożności nigdy za wiele.
- Ucięcie głowy w zupełności wystarczy. Powiedzcie mi lepiej, czy wszystkich, których strzyga ubiła tak sprawiliście?
- Co do jednego, wasza wielebność.
- A byli to...?
- Znaczy się?
- Jak się zwały ofiary?

Stara zawahała się, potem poczłapała wolno alejką, brodząc w błocku i kałużach. Po kolei wskazywała groby.

– Izbor i Czębor jako pierwsi ducha wyzionęli. Chwalili się po pijaku, że widzieli co się z bratem Kastynem stało. Krótco potem znaleźlim Czębora w stawie. Ciężko było go rozpoznać, tak był poharatany. Izborę odkrylim dzień później. Woda go pod młyn wyniosła, ale jak się wasza wielebność domyśla, to nie raki go poszczypały. Dalej mamy wielmożnego podsędka Lasotę, którego często w gościnie na zamku Reczów bywał. Strzyga go na trakcie pośród lasu opadła, flaki rozwlokła na stajanie. Samboję, służącą u wójtowego dworu przy studni omal o świtanu bestyja rozpruła. Dwie niedziele nikt wody tam nie czerpał, aż wielebny modły oczyszczenia odprawił. I wreszcie Chwalimił, Lasotowy pisarz. Khem, khem, na sianku go potwora opadła, kiedy to z Lutką młynarzówną się zabawiał. Niedojda dotąd się jąka.

– I mówicie, że ta strzyga to ze Służnik?

– A jakże! Pamiętam ci ja, wasza miłość, że drzewiej inaczej było. Zwykła to okolica, gdy dobry pan gospodar tu bywał. Potem zło się załęgło, kiedy owa szlachcianka ze sługami się sprowadziła. Ostrzegałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie, aleć przecie nikt mi posłuchu nie dawał, bo ja z Lutnej. Nietutejsza. A teraz się pokazuje, kto rację miał. I może by ludziska przejrżeli, gdyby nie wójt. Ten, psia jucha, wielki szlachcic, choć gołodupiec, z nosem pod niebo zadartym. Cięgiem ludziom mówi, co robić majo. A ludziska głupie, to słuchajo. Ale jeszcze się wszystko odmieni. Strzyga bardziej dokuczy, to i na oczy przejrzo. Przypomno sobie, co kto prawil. Jeszcze się wszystko pokaże!

– Przecie wielmożna pani Retz lat już tu kilka zamieszkuje, a strzyga tej wiosny się objawiła. Baję opowiadacie, dobra kobieto. I to kościelnemu urzędnikowi, któremu kłamać grzech śmiertelny. I niebezpieczeństwo dla doczesnej powłoki.

– Klnę się na rany Aedonei, że to wszyściuteńko prawda! Wcześniej tu ojciec Makary gospodarzył to i zło w ryzach trzymał. Teraz ojciec Chryzant nastał, a ten, trzeba wam wiedzieć, wielce nieudaczny jest! Dobrze, że biskup was tu, wasza świętobliwość, wysłał. W sam czas to uczynił.

– I z tym się akurat zgodzić muszę. – Błyskawica niby pęknięcia na skorupce jajka pocięła sklepienie niebieskie. Tonąca w mroku okolica na ułamek sekundy okryła się oślepiającą bielą. – Nawet nie wiecie, jak mi pomogliście, dobrodziejko. Z bogiem bywajcie, dobrej nocy wam życzę.

Odwrócił się i powędrował ścieżką pomiędzy nagrobkami. Ciemności zawarły się za nim.

Opada kurtyna

Jabłkowita klacz plebana stąpała wolno leśnym duktem. Hedaard nie poganiał jej. Chciał pomyśleć.

Ranek wstał chłodny i rześki, podnosząc mgłę. Ciężkie chmury płynące w stronę gór pogłębiały wrażenie, że cały świat utonął w mlecznym oparze i tylko ledwie widoczna, stłumiona zieleń drzew wyznaczała granicę między niebem a ziemią. Cisza aż dźwięczała w uszach. Las zdawał się wymarły, a im bliżej Służnik, tym nastrój niesamowitości się pogłębiał.

Hedaard dumiał. Śmierci w Trzech Dębach przestały jawić mu się jako przypadkowe. Musiał za nimi stać czyjś mroczny zamysł. Potrzebny był tylko klucz, by znaleźć odpowiedź na pytanie, komu były one na rękę i kto miał moc przekleństwa, zdolną powołać strzygę do istnienia. Oczywistym było, że wszystko wiązało się z tajemniczym mordem na bracie Kastynie. Powód? Banalny. Złoto. Złoto, którego z jakiegoś powodu braciszek nie zostawił w Lutnej pod opieką bankiera, zabrał za to ze sobą

w góry. Po cóż? Ha, po cóż, jak nie po to, by je sobie przywłaszczyć. Czemu jednak kryłby się w Trzech Dębach, które miał odwiedzić jako poborca? Z Miodowej Doliny złoto należało wywieźć, nie odwrotnie. Postąpił jednak wbrew logice i spotkała go śmierć. Ktoś zatem musiał wiedzieć o wszystkim i sam połakomił się na taki kąsek. Kto zatem? Choć zagadka zaciekała Hedaarda, strzyga nie była tak naprawdę jego problemem. Dopiero zmierzał do prawdziwego celu wizyty w Miodowej Dolinie.

Ziewnął przeciągle. Wyruszył krótko po świtaniu, do kasztelu Reczów były bowiem dobre dwie mile, a chciał wrócić na wieczór i wziąć udział w festynie. Przyznać musiał też sam przed sobą, że intrygowały go pogańskie obchody solstycji.

Słońce zaczęło przygrzewać, rozpraszając wełniste kłęby mgły, odsłaniając bryłę stołpu sterczącą niby latarnia wśród spienionego morza. Hedaard pogonił wierzchowca. Nim trakt wychynał na otwartą przestrzeń, po mgle nie zostało ani śladu, a słonko załało ziemię skwarem.

Kiedy opuścił las – wbrew temu, co obiecywały plotki – nie zobaczył siedliska demonów lecz zwyczajne pola i łąki, otaczające jeszcze zwyczajniejsze sioło.

*

– Jaśnie wielmożna pani przyjmie waszą wielebność. – Wypudrowany służący nie kazał długo czekać w przepastnym salonie pełnym myśliwskich trofeów. Ruszył przodem przez labirynt korytarzy i krużganków, klucząc tak, jakby chciał gościa zgubić. Zatrzymał się dopiero przed masywnymi drzwiami, pchnął jedno ze skrzydeł i gestem zaprosił inkwizytora do środka. Sam został na korytarzu.

Wystrój wnętrza mógł zaprzeczyć dech. Sporych rozmiarów salę o gwieździstym sklepieniu wspartym na licznych kolumnach wypełniały gęsto regały. Każdy z nich uginał się pod ciężarem niezliczonych woluminów. Wolne miejsca na ścianach wypełniały malowidła oprawne w przepyszne ramy. Wrażenia dopełniały smugi światła wpadające przez olbrzymie okna. Całość zapewne miała oszołomić przybysza, którego obecność w zamku prawdopodobnie nie była mile widziana.

Pani Viebeke Retz, obecna właścicielka włości, uchodziła za niezwykłą piękność. Dotąd nie odżałowano jej absencji na salonach wschodniej Morungii, choć od jej wjazdu upłynęło kilka lat. Niewysoka, dość kruchej budowy ciała, o smukłej talii i wąskich ramionach, wyszła, nie, wypłynęła, pomiędzy regałów, by powitać gościa. Obdarzyła go uśmiechem, który prawdziwie mógł iść w konkury ze słonecznymi promieniami. Co ciekawe, uśmiech ten widniał nie tylko na pełnych, upomadowanych ustach, ale odbijał się też szczerością w wielkich oczach, błękitnych niczym ciepłe morskie fale. Rzeczywiście mogła się podobać, nawet bardzo. Hedaardowi się nie podobała.

– Jaki jest powód wizyty w mych włościach sławnego inkwizytora z Aumalle? – zapytała, kiedy gość wyprostował się po głębokim ukłonie. – Zaszczyt to, choć, przyznam, iż dość... niespodziewany.

– Widzę, pani, że nic spośród rzeczy, jakie dzieją się w dolinie, nie umknie twej uwadze. Wszelako nie przypominam sobie, abym przedstawiał się komukolwiek moim pełnym nazwiskiem.

– Owszem, wasza wielebność, nie przedstawiałaś się. Wiedzę czerpię jednak ze źródeł dokładniejszych niż te w Trzech Dębach, a i imię wasze nie jest mi obce.

– Zawstydzasz mą skromną osobę, pani, i wpędzasz w grzech próżności i pychy.

– Och, darujmy sobie zbędne uprzejmości, panie. Sława znacznie was wyprzedza, jeśli kto śledzi... pewne tematy. Napije się wasza wielebność czegoś?

– Nie śmiem sprawiać kłopotu łaskawej i gościnnej dobrodziejce.

– Żaden to kłopot, a i przyjemniej się rozmawia, kiedy gardło zwilżone jest szlachetnym trunkiem. Odrzućmy na bok konwenanse, jak rzekłam, mości Hedaardzie, spodziewam się ciekawej i pouczającej konwersacji, a one ją tylko utrudniają.

– Z radością spełnię tedy twe życzenie, pani...

– Viebeke.

– Przyznam ci się zatem do słabości, Viebeke. Wielce zasmakowałem w lokalnych trunkach. Rad będę, jeśli wolno mi będzie prosić o miód.

– Wolno. – Podała Hedaardowi ramię i poprowadziła w głąb sali.

– Muszę przyznać, że twoja biblioteka robi wrażenie, – rzekł inkwizytor zawiązując ramieniem o grzbiety skórzanych opraw, zwięzy i tłoczone złotem i srebrem tytuły. Krocząca u jego boku gospodyni uśmiechnęła się wyraźnie rada z wrażenia, jakie udało się wyrzucić na gościu, kontynuował

zatem, powstrzymując złośliwy uśmieszek sam cisnący się na usta. – Znałem kiedyś pewnego tremandzkiego wołchwa, jednego z ostatnich, nie pytaj pani jakim to sposobem się ostał. Ów wołchw osobiście wielkim afektem księgi darzył. Tak wielkim, iż widok tej ilości książek zgromadzonych w jednym miejscu wprawilby go w ekstazę...

– Chwalebne, zaiste – odparła Wiebeke sunąc wskazującym palcem po mijanych w drodze woluminach. – Zawsze považalam osoby potrafiące docenić bogaty księgozbiór.

– I ja przyznam się do tej słabości. Dopuszcilem zatem owego wołchwa kiedyś do konfidencji i, gdyśmy szukali w księgach pewnych informacji, pozwolilem mu skorzystać z mojego własnego zbioru. Rzekł wtedy, że nigdy wcześniej nie widział tak bogatej kolekcji papieru do rzyci. Ze szczęścia omal polucji nie dostał.

Pani Retz spojrzala z nieskrywany m niesmakiem.

– Mam nadzieję, że nie dzielisz podobnych upodobań.

– W upodobaniach znacznie bliżej mi do ciebie – Hedaard skłonił się nonszalancko.

– Raduje mnie to niezmiernie. Zechcesz spocząć? – Wyszli na wolną przestrzeń, gdzie między wielkim marmurowym kominkiem, a szeregiem olbrzymich okien urządzono coś na kształt czytelnicy. Gospodyni wskazała gościowi miejsce na obitym skórą fotelu, sama zaś zadzwoniła podjętym ze stolika dzwoneczkiem. – Zgaduję, że to nie zamiłowanie do ksiąg spowodowało cię na nasze odludzie...? – zapytała z ledwie wyczuwalnym napięciem w głosie. Podała Hedaardowi jeden z błyskawicznie przyniesionych przez sługę kielichów, z drugim w dłoni zajęła miejsce naprzeciw.

– Wręcz przeciwnie. – Inkwizytor uśmiecnił się, upił łyk miodu i zamilkł na długą chwilę. Wiebeke czekała bez słowa. – Wyborne... – rzekł cicho, a potem podjął: – Przeciwnie, bo przecież nie historia o strzydze grasującej rzekomo w dolinie, ani zaginiony biskupi poborca.

– Słusznie, bo z owymi pożałowania godnymi sprawami nie mam nic wspólnego.

– Nawet taka myśl mi nie postala. Wszelako...

– Tak?

– Brat Kastyn był tutaj, prawda?

– Nie. Należność przekazałam za pośrednictwem ojca Chryzanta.

Hedaard kiwnął głową, zamieszał zawartość kielicha ruchem dłoni.

– Po prawdzie to właśnie pewna księga przywiodła mnie w te strony – podjął nie ponaglany, czując na sobie wzrok morungijskiej szlachcianki. – Pozwól, że uraczę cię, miła pani, niezwykłą historią, albowiem księga to niezwykle rzadka i cenna. Cenna wszelako nie ze względu na unikatowe iluminacje ni archaiczny język, ale ze względu na treść. Treść, która jako niewłaściwa, wręcz bluźniercza, sprawiła, że wszystkie egzemplarze, o których było wiadomo, spłonęły ciśnięte w ogień drżącymi ze strachu i obrzydzenia dłońmi. Tak obrazoburcza, iż ktoś uznał ją za zbyt niebezpieczną i usunął egzemplarz nawet z altheimburskiej biblioteki arcypralata, gdzie przecież pilnie strzeżone spoczywają woluminy zawierające niejedną herezję. Wierz mi, sprawdziłem i to...

– Słynna księga okryta narastającymi przez lata legendami? – Wiebeke uśmiecniła się, mrużąc oczy w kaskadach słonecznych promieni. – Takie dzieła często istnieją tylko w wyobraźni poszukiwaczy i kolekcjonerów zwiedzionych przez błędy w tłumaczeniach, przeinaczenia w cytowaniach, czy wreszcie, banalnie, leniwi autorzy nigdy ich nie napisali, lubili jednak chwalić się zawartą w nich głębią i nieosiągalnymi dla innych wyżynami intelektu.

Inkwizytor uniósł dłoń.

– Często tak, nie w tym wypadku jednak. Miałem egzemplarz tego dzieła w rękach... dawno temu...

– Czemuś zatem go wypuścił?

– To historia, którą opowiem może innym razem. Póki co trzymajmy się rozpoczętej. Lata całe szukałem ocalałych egzemplarzy, słusznie nie mogąc uwierzyć, by nie zachował się ani jeden. Tropy prowadziły w ślepe zaułki, bądź okazywało się, że spóźniłem się o całe lata. Woluminy, które podobno ocalały, zmieniały właścicieli wiodąc w nowe miejsca, bądź odnalezione przez mych konfratrów były niszczone. Jednak nie poddawałem się, a moje wysiłki zostały wreszcie nagrodzone. Natrafiłem na ślad księgi w Oord. Dostała się pewnemu młodemu aptekarzowi w spadku po ojcu, alchemiku i okultyście. Młodzian ów zrazu rozpoznał, jak niebezpieczne, ale zarazem cenne to dzieło i roztropnie postanowił się go pozbyć, a przy okazji nabić nieco kabzę. Doszło to oczywiście moich uszu. I nie tylko moich, bo trzeba ci wiedzieć, że byli i inni zainteresowani. Czym prędzej wyruszyłem do Oord, przeklęta odległość sprawiła jednak, że nie zdążyłem na czas. Antykwariusza wprawdzie

aresztowano, ale za późno. Książkę sprzedał zgodnie z zamówieniem. Na szczęście, nie tylko dla mnie, ale i dla handlarza, okazał się on rozmowny. Nawet bez zbytnich zachęt. Stąd dowiedziałem się, kto księgę zamówił i na czyje zlecenie. Podążyłem tym tropem dalej, atoli szczęście ponownie odwróciło się. Nabywczyni, jak się okazało, niedawno sprzedała włości i wyniosła się, diabli wiedzą dokąd. Księga przez kogoś zaufanego podążyła jej śladem i znów wymknęła mi się na kilka lat. Inne sprawy pochłonęły moją uwagę, ale bynajmniej nie poniechałem poszukiwań. Wreszcie ladacznica fortuna w dość nieoczekiwanym momencie postanowiła ponownie się uśmiechnąć – mianowicie po rozbiciu alstberskiej sekty feminików. Znowu okazało się, że świat jest mały, niezależnie od tego jak daleko od niego próbować uciec, a wizja czerwonego żelaza zamienia najtwardszych heretyków w potulne owieczki. Owóż wystaw sobie, Viebeke, pokazało się, iż szlachcianka, która zakupiła pożądaną przeze mnie księgę, i matka jednej z feminickich gmin to ta sama osoba. Tak, tak. Na długo nim rozpoczęły się procesy heretyków w Altsbergu, kiedy zaczęto podejrzewać ją o sprzyjanie feminikom, gdy poczuła na plecach oddech braci urzędników z Oficjum, sprzedała majątek i wyniosła się, byle dalej, starannie zacierając ślady. Ale musisz wiedzieć, moja droga Viebeke, że ślady zostają zawsze. Trzeba by uśmiercić wszystkich świadków, a i tak nie miałoby się pewności, czy nie pozostał ktoś posiadający niebezpieczną wiedzę. Ktoś, kto widział lub słyszał zbyt wiele. Dodać nadto muszę, że z tendencją heretyckich ruchów by trzymać się razem i pozostawać w stałym kontakcie, śladów zatrzeć po prostu nie sposób. Co mi na to powiesz?

– Pozwól, że w odpowiedzi coś ci pokazę, dobrze?

Hedaard skinął głową i sięgnął po ciężki gliniany gąsior. Waząc go w dłoni, odprowadził gospodynię wzrokiem. Musiał przyznać, że do tej chwili pewien był tylko tropu, który prowadził do księgi. Choć wiele wskazywało na powiązania z feminikami, nie miał na to żadnych dowodów. Była to herezja, która wypłynęła na fali radykalnych ruchów reformacyjnych, które wobec zepsucia w łonie kościoła, jego skostnienia i dekadencji spotkały się z dużą sympatią społeczną. Wszelako nawet pośród reformatorów uważana była za odszczepieństwo z powodu odrzucenia Jedynego i wyniesienia w jego miejsce Aedonei, podle tradycji córki bożej zesłanej na ziemię dla zbawienia ludzkości. Podczas gdy inne ruchy opowiadały się wyłącznie za odbudowę kościoła od podstaw, w duchu ubóstwa, sekularyzacji kościelnych dóbr i odebrania duchowieństwu władzy świeckiej, feminicy szli dalej, zezwalając kobietom na pełnienie funkcji kapłańskich. Dowodzili, że jako spadkobierczynie Stwórczyni mają do tego większe prawo niż mężczyźni, odrzucając tym układ zakorzeniony w tradycji. W swej bardziej radykalnej odmianie feminicy optowali także za wielożęństwem, prowadzeniem nabożeństw w języku narodowym oraz nie uznawali odpustów, zwłaszcza jeśli można je było otrzymać za pieniądze. Wszystko to sprawiało, iż herezja feminicka stawała się coraz popularniejsza i to nie tylko pośród prostego ludu, do którego trafiały idee równości wobec bogini.

– Spójrz tutaj – głos Viebeke wyrwał go z zamyślenia. Otworzyła na chybił trafił sporą księgę i położyła na stole przed inkwizytorem. – Nie sądzisz, że jeden z nich – stuknęła palcem w rycinę – wygląda zadziwiająco znajomo?

Grawiura przedstawiała dwóch mężczyzn krzyżujących miecze. Jeden z nich, mimo naiwnego prymitywizmu przedstawienia bardzo podobny do Hedaarda, dźgał sztychem pierś drugiego. Podpis trudno odcyfrowalną teksturą głosił:

Bądź silny przeciw niemu, zawiń, dźgnij. Jeśli się postrzeże, uderz w dół.

Na sąsiedniej stronie ci sami szermierze zwarci byli w innej pozycji. Ten o twarzy Hedaarda dzierżył miecz na wysokości głowy przeciwnika, co na rycinie wyglądało, jakby ją przebijał. Oponent, najwyraźniej zaskoczony techniczną sztuczką, stał naprzeciw z bezradnie wzniesionym do pionu orężem i przekomiczną miną. Napis oznajmiał:

*Odnajdź słabości miecza jego i zawiń ponad nim po twej lewicy.
Tedy tył głowy ichni uderzyć możesz, wyszukawszy lukę.*

– To kopia starszego dzieła – oświadczyła Viebeke. – Wykonał ją Johannes Talhoffer z Ardell na podstawie Kodeksu nieznanego z imienia Mistrza z Aumalle.

– I czego jest owa księga dowodem prócz faktu, że fechtunek to nie taniec ani piruety? – Hedaard uśmiechnął się mimowolnie, przerzucił kilka stron i sięgnął po kielich.

– Ta księga ma dwieście lat z okładem..
– No proszę, a obecni fecht mistrze uważają, że fechtunek narodził się wraz z upowszechnieniem rapiera, jakiś wiek temu. Wcześniej ponoć wszyscy okładali się żelźcami jak cepami.
– Przyjrzyj się rycinom – naciskała Viebeke. – Zwłaszcza szermierzowi przedstawianemu po lewej stronie.

– Cóż z nim? Sztuka owego okresu daleka jest od realizmu, ale proporcje wydają mi się całkiem prawidłowe.

Viebeke spojrzała na niego usiłując przebić maskę pozorów i zdemaskować fałsz. W końcu ponownie wstała.

– Chodź. Jeśli to za mało, pokażę ci więcej.

Przeszli do długiego korytarza o ścianach obwieszonych różnorakimi obrazami, echem kroków, budząc go do życia. W zamku panowała niesamowita cisza, stwarzając wrażenie, że miejsce to dawno wymarło. Hedaard wiedział wszakże, że to pozór, a dyskretna, nie rzucająca się w oczy służba czeka na każde skinienie swej pani. Zatrzymali się przed utrzymanym w ciemnej tonacji portretem mężczyzny w czapce i luźnej, częściowo rozsznurowanej koszuli. Tym razem nie było nawet cienia wątpliwości. Malowidło przedstawiało Hedaarda. Spoglądał on jednak na płótno, jakby oglądał je po raz pierwszy.

– Obraz ten liczy sobie dokładnie sto czterdzieści trzy lata. Namalował je ów tajemniczy i wszechstronny mistrz z Aumalle, będący tym razem nie nauczycielem fechtunku, a, obok Ambrosiusa Hägela, twórcą aquiseńskiej szkoły malarstwa. Przypuszczam jednak, iż nie pochodzi on z Aumalle, a raczej jest jego założycielem. Stąd owo przywiązanie do nazwiska. Popatrz na podpis tutaj, nie spotkałam się nigdzie indziej z tym imieniem... Niesamowite, wciąż nosisz ten pierścień! Piękny kaboszon – onyks, prawda?

Hedaard spojrział w dół, podnosząc dłoń. Uśmiechnął się krzywo.

– Prawda. Próżność kiedyś mnie zgubi. Chyba jednak nie ma artysty, którego nie kusi podpisanie własnego dzieła?

– Niewielu. Niewielu też nigdy nie namalowało autoportretu.

– Skoro zatem gramy w otwarte karty, czy będziesz tak miła i odsprzedasz mi księgę? Zauważ, że z wrodzonej uprzejmości proponuję kupno, zamiast zwyczajnie wziąć ją sobie po zlikwidowaniu gniazda herezji.

– Nie jest na sprzedaż.

– Niemniej jednak sprzedasz mi ją. Pamiętaj, że nie jesteś w pozycji do odrzucania ofert. Ja za to wciąż pozostaję uprzejmy. Wymień cenę. Dostaniesz ile chcesz bez targów.

– Proszę, proszę. Bez targów. Rozczuła mnie ta twoja uprzejmość.

– Pamiętaj jednak, że ma ona swoje granice. Uprzejmość, nie hojność, oczywiście.

– Założmy, że poddam się szantażowi. Co jednak, jeśli powiem, że księgi tu nie ma?

– Wtedy znajdziesz się w bardzo poważnych tarapatach.

– Stąd pewność, że dam się kupić? Powiem ci, że myśl o całym złocie, za które chcesz kupić ode mnie coś, co nie ma ceny, napawa mnie obrzydzeniem. Księga należy zresztą nie do mnie, a do gminy. Nie mam prawa ci jej odsprzedać.

– Proszę cię, nie wciskaj mi lgarstw. Dość już się nasłuchałem tych wszystkich baj o równości i wspólnej własności. Za długo żyję, by w coś takiego uwierzyć. I wierz mi, nie wy pierwsi wpadliście na taki pomysł. A póki co nikomu nie udało się go wprowadzić w życie. Chyba, że stojącym za całymi tymi jasełkami spryciarzom, którym nie podobało się ich własne chamskie pochodzenie. Jak łatwo w czasie wszelkich burz dziejowych powstaje nowa arystokracja. Nie uwierzysz.

– Nawet nie staram się – zauważyła sarkastycznie.

– Widzę. Zastanawiam się tylko co z tego masz? Bo jakoś nie zauważyłem, byś w imię wzniosłych ideałów swych braci i siostr, pozbyła się służby, majątek rozdała między ubogich i przydziałała włosienicę. Czemu zatem ryzykujesz życie?

– Nic ci do tego. Ja naprawdę wierzę, a czy muszę od razu popadać w skrajność? Aedonea nie mówiła o ubóstwie, nauczała za to, aby nie marnować swoich talentów, zaś ich owocem dzielić się z tymi, którzy owych talentów nie posiadają. I tak też czynię.

– Och, nie jesteście lepsi od innych sekt. Zawsze bierzecie tylko to, co dla was wygodne, a gdy już macie władzę i wpływy, wcale nie czynicie inaczej niż ci, z którymi walczyliście.

Zacisnęła usta w wąską kreskę. Dolna warga drgała nerwowo.

– Dziwię ci się – rzekła po chwili. – Czemu tak zawzięcie walczysz przeciwko nam? I to po stronie swojego wroga?

– Naprawdę sporo wiesz – przyznał Hedaard z lekkim podziwem.

– Czytałam nie tylko wersję Pisma, której tak pożądasz, czy twój Kodeks szermierczy. Miałam też w rękach kilka traktatów, których jesteś autorem. Dość uważnie je przestudiowałam.

Hedaard długo nie odpowiadał. Przypatrywał się krytycznie wiszącemu na ścianie portretowi.

– Schlebiasz mi – rzucił krótko i zdawało się, że zarazem uciął tym dyskusję. – Tak naprawdę walka z heretykami nie służy wcale dobru kościoła – podjął, ruszając korytarzem, zatrzymując się przed kolejnymi malowidłami. – Powinnaś wiedzieć, że im bardziej usiłujesz coś zdusić, tym większy opór napotkasz. Reformy kościoła ani trochę nie są mi na rękę. Nie chcę, aby dzięki nim wyszedł z kryzysu obronna ręka i przetrwał. Zatem, paradoksalnie, przyczyniając się do sianego terroru, czynię tylko wyłom w kruchych i mocno nadwerżonych murach. Prześladowania powodują tendencje odśrodkowe i powstawanie coraz to nowych sekt. Te zaś mają nowe spojrzenie na wiarę i boga. Wracają do łask i stają się na powrót popularni bogowie zapomniani, czy wręcz powstają nowe religie. W końcu dopnę swego i Jedyne odejdzie w niepamięć. Jest też coś jeszcze. Naprawdę ciekawi mnie, czy bogowie żyją tylko wtedy, gdy mają wyznawców? Kogoś, kto składa im ofiary i wznosi do nich modły. Doprawdy jestem tego ciekaw.

– Nie boisz się, że jeśli ci się uda, wraz ze śmiercią twego stwórcy i jego przekleństwa stracisz nieśmiertelność? A może nawet więcej?

– Mówiąc szczerze, nawet tego jestem ciekaw. Ale nie, pewien jestem, że nie. Nawet gdyby on rzeczywiście był jedynym, a nie kimś, kto uzurpuje sobie prawo do bycia nim.

– A jest?

– Nie, choć aedoneicy teolodzy znaleźli na to sprytne wytłumaczenie, podług którego inne bóstwa są tylko pomniejszych demonami, duchami służebnymi lub wrogimi stwórcy.

– Błędnie.

– Przecież w niego nie wierzysz?

– Nie, ale wierzę w Aedoneę.

– Ach, zapomniałem. Twoja wiara niewiele się różni od tej, na gruncie której wyrosła. To doprawdy zabawne.

– Zaiste denerwujący jest twój sarkazm.

– Moja droga, w pewnym wieku ma się do niego pełne prawo. – Mrugnął. – Kiedy dostrzeżesz granice pomiędzy wiarą, a tym, czym karmią cię jej urzędnicy, kiedy zauważysz, że bogowie, podobnie jak ich kapłani, to banda egocentrycznych kreatur, tak naprawdę niewiele różniąca się od zwykłych ludzi, śmiesznie zresztą od nich zależna, choć w pysze przydająca sobie miano wszechmocnych – wtedy zaczynasz inaczej patrzeć na świat.

– Twierdzisz, że bogowie to zwykłe byty? Takie jak my?

– Przynajmniej ci, którzy zainteresowani są naszym rodzajem. Weźmy na przykład Aedoneę. Jeśli ona jest boginią, kim ja jestem?

Spojrzała na niego z mieszaniną przerażenia, fascynacji i odrazy.

– To... to bluźnierstwo!

– Cóż, zależy jak na to spojrzeć. Bynajmniej nie przypisuję sobie boskości. Ale w takim razie kim ona jest? – machnął dłonią powstrzymując kolejny protest. – Możesz sobie wierzyć w cokolwiek zechcesz...

– Ja... Nie mogę w TO uwierzyć! Czy oni w takim razie są śmiertelni?

Na twarzy Hedaarda wykwitł paskudny uśmiech. Uśmiech z rodzaju tych podnoszących włoski na karku, ścinający lodem krew w żyłach.

– Mam zamiar to kiedyś sprawdzić. Mówią, że pośród starszych bogów jest jeden, na dźwięk imienia którego truchleją inni. Nie jest on podobno ani martwy, ani żywy. Po prostu trwa w uśpieniu, czekając na swój czas. I tu dochodzimy do kolejnej rewelacji. Nie wiadomo, czy istnieje jakiś prawdziwy demiurg, jednak pośród niezliczonych bogów, żaden nie jest prawdziwie wszechmocny. Według Chlodochara Mnicha tym potężniejszy jest bóg im więcej posiada wyznawców. Cóż jednak począć z owym uśpionym? Nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek go czcił. Niemniej warto kiedyś wystawić na próbę tę ich nieśmiertelność.

– Bluźnierstwo za bluźnierstwem. I to z ust inkwizytora. Że też nie obawiasz się mówić mi takich rzeczy. Nie lękasz się, że zadenuncjuję cię twej konfraterni?

– A któż uwierzy heretyczce? Gdybym był tobą, martwiłbym się raczej o własną skórę. Jak tedy będzie? Dobijemy targu?

– A jaką mam gwarancję, że gdy dostaniesz to, czego chcesz, zostawisz nas w spokoju?

– Żadnej.

– Mam oddać cenną księgę za uludę?

Hedaard wzruszył ramionami.

– Uczynisz jak zechcesz. Niezależnie od wszystkiego księga będzie moja.

– Jeśli powiem ci, co się z nią stało, dasz mi spokój i nie będziesz nigdy więcej nękał?

– Masz moje słowo.

Zaniosła się śmiechem nic nie robiąc sobie z przeszywającego spojrzenia inkwizytora.

– Mówiłam już, że jej nie mam – wydusiła wreszcie uspokajając się z trudem. – Ojciec Makary jakimś sposobem dowiedział się, że weszła w moje posiadanie i zaszantażował mnie tak jak ty. Był sprytniejszy, niż się komukolwiek wydawało, ale nie chciwy. Często gościł w mojej bibliotece. Powodowała nim prawdziwa żądza wiedzy. Widziałeś jego zbiór i spisane przezeń traktaty? Właśnie. Trzeba mu przyznać, że dotrzymał słowa i nie żądał później już niczego więcej. Bardzo też pomagał utrzymać wszystko w tajemnicy. Gdy zmarł nie udało mi się odzyskać księgi. Wpadła w ręce Chryzanta, a ten spalił ją wraz z kilkoma innymi dziełami ze zbioru Makarego, uznał je bowiem za heretyckie. Smutne.

Hedaard zaklął, wcale nie krępując się towarzystwem niewiasty.

– Cóż – wzruszyła ramionami, uśmiechając się przy tym złośliwie – chyba musisz zacząć poszukiwania na nowo.

– Pierwej jednak ojczulek zapłaci za to i za inne swe grzeszki. Ciekawość, jak udało ci się trzymać go za pysk od śmierci ojca Makarego?

– Święcie wierzy, że jesteśmy prawymi aedoneitami – prychnęła pogardliwie – tylko w innym obrządku. Poza tym jest chciwy, a ja mam na niego parę haków.

– Możesz zdradzić, jakich?

– Nie będę ci odbierać pracy. Sam do wszystkiego dojdiesz.

Inkwizytor odwrócił się, rezygnując z dalszego zwiedzania urządzonych w korytarzu galerii.

– Nic tu po mnie, widzę. Pora mi w takim razie w drogę...

– Dotrzymasz słowa? Nie wydasz mnie?

– Jeśli mnie nie oszukałaś, niech zaraza porwie te wasze herezje i zabobony. Czyń na co masz ochotę. Ale bądź pewna, że któregoś dnia wszystko wyjdzie na jaw i inkwizycja zainteresuje się twoim krańcem świata.

Uśmiechnęła się, nic sobie najwyraźniej nie robiąc z ostrzeżenia.

– A może zechciałbyś przyłączyć się do nas? Ostatecznie przynajmniej w części nasze cele są zbieżne.

– Wybacz, ale mam inne plany.

– Jak chcesz. Gdybyś zmienił zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Nie zmienię. Ale będę pamiętał. – Ujął dłoń niewiasty i złożył na niej pocałunek. – Viebeke?

– Tak, panie mój?

– Zanim pojadę, powiedz mi, ile zapłaciłaś za mój obraz?

Zachichotała. Śmiała się długo nie mogąc złapać oddechu.

– Więcej niż za uludę spokoju, którą kupiłam od ciebie – wykrztusiła.

– Przeplaciłaś. To kopia jednego z moich uczniów.

– Łajdak. Mogłeś mi tego nie mówić. – Dygnęła ujmując poły sukni. – Femke odprowadzi cię do bram.

Hedaard odwzajemnił ukłon.

– Bywaj w zdrowiu, pani.

– Bywaj w zdrowiu, inkwizytorze.

Noc świętej Hildegardy

Trzy Dęby po powrocie Hedaarda w niczym nie przypominały zapomnianej wsi na końcu świata. Do siola zwalili bartnicy, węglarze i drwale, przybyli kmiecie z rozrzuconych po całej dolinie wsiółków, a nawet kupcy z Lutnej i kilku dalszych miast, którzy rozstawili swe kramy wokół

centralnego placu. Domy, słupy, drzewa ozdobiono wieńcami i girlandami z kwiatów. Przed chałupy powystawiano drewniane figury świętej Hildegardy, przystrojone i pomalowane we wszelkie kolory tęczy, z nieodłącznym wiankiem na słomianych, czy konopnych, splecionych w warkocze włosach. Zewsząd dochodził słodki zapach miodowych kołaczy, mieszając się z wonią świeżo skoszonej trawy, bigosu, kiszonych ogórków, dziegciu, nawozu i czego tam jeszcze. No i oczywiście piwa lejącego się strumieniami z pękających beczek ustawionych w cieniu największego budynku, dodatkowo osłoniętych prowizorycznym zadaszeniem. Aż dziw, że w podchmielonym, rozochoconym towarzystwie nie doszło jeszcze do bójek, bowiem kilka pierwszych ofiar szlachetnego trunku wzmocnionego upałem drzemało już na lawach przed chałupami lub pośród wybijanej zieleni. Nim Hedaard zdążył się zorientować, jego rumaka otoczyła gwarna ciżba przekupniów, wystrojonych odświętnie niewiast, podpitych mężów, płaczących się wszędzie rozwrzeszczanych dzieci i bezpieczeństwa psów. Ktoś, najwyraźniej nie zdający sobie sprawy z tego, kim jest konny, chwycił wodze tuż przy munsztuku, usiłując sprzedać po okazyjnej cenie piękną, przynajmniej w mniemaniu kupca, jedwabną tkaninę. Z drugiej strony przy samym strzemieniu wyrósł jak spod ziemi handlarz zachwalający piskliwym głosem posiadane w ofercie rzadkie relikwie, jedyne istniejące, z poświadczeniem autentyczności samego arcyprałata. Gęba sprzedawcy świadczyła raczej o czymś przeciwnym, Hedaard opędył się od natrętów i ruszył w stronę świątynnego wzgórza, roztrzając tłoczącą się na drodze gawieź. Luźniej zrobiło się dopiero przy cmentarnej bramie, choć i tu nie brakło przekupniów. Za to plac przed plebanią był prawie pusty, jeśli nie liczyć ojca Chryzanta i grupy podrostków szykujących figurę świętej do procesji.

– Będziemy musieli pomówić o pewnych zaginionych księgach, ojcze... – rzucił inkwizytor, zeskakując z siodła i umilkł, bowiem w tym momencie, niczym wybawienie kapłana, ozwał się świątynny dzwon, donośnym głosem wzywając wiernych.

Chryzant pobladł gwałtownie. Sięgnął w rękaw szaty po chustkę i otarł nią czoło.

– Jak sobie wasza świątobliwość życzy – wyjąkał, kiedy nastąpiła dźwięcząca w uszach cisza. – Teraz...?

Hedaard zmrugał oczy.

– Nie, po festynie. Nie oddalajcie się tedy nigdzie, ojcze.

*

O zmierzchu w całej wsi wygaszono wszystkie ognie. W zapadłej ciszy ojciec Chryzant skrzesał iskier. Podpalił wielki stos bierwion ułożony w centrum siola, dając tym samym znak do rozpoczęcia biesiady. Pierwej jednak wszyscy gospodarze odpalili od ognia po szczapce i zanieśli szczęśliwy płomień do domostw. Zaraz potem huknęły bębny, rozbrzmiały gęśle i dudy, a zgromadzeni dopadli ław i rzucili się na rozstawione po stołach jadło i trunki.

Niejako konkurencyjna biesiada odbywała się w domostwie wójta za wrotami przystrojonymi bylicą. Zjawili się tu wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli w okolicy, od zubożalej szlachty, po co bogatszych spośród dzierżawców. Nie była to ani zbyt liczna, ani nazbyt imponująca grupa, jednakże czuła się i traktowała wzajem jakby była elitą. Hedaardowi chciało się śmiać, kiedy obserwował ich harde miny i zadarte pod powalę nosy. Wybornie kontrastowały z krzywo skrojonymi żupanami, podobnie zresztą jak wysadzone drogimi kamieniami pierścienie z grubymi palcami bogatych chłopów dowartościowanych wpuszczeniem w wysokie progi. Zresztą, jakie tam wysokie? Tu, na krańcu świata? Wieczór wszakże obfitować miał w niespodzianki. Tuż za progiem inkwizytor natknął się na Maję i na jej widok zapomniał języka w gębie, co zdarzało się mu niezmiernie rzadko. Dziewczyna miała na sobie wyszywaną perłami i srebrem, doskonale skrojoną błękitną suknię na fortugale, wydekoltowaną niemal do nieprzyzwoitości. Płomienie świec zabłyśły na pysznej kolii i delikatnej siatce spinającej włosy. Hedaard zignorował spojrzenia z głębi sali i zatrzymał dłoń dziewczyny o wiele dłużej niż nakazywał obyczaj, unosząc ją do ust. Potem okręcił Maję w miejscu, nie kryjąc podziwu dla jej urody.

– Zaniemówiłeś. – Uśmiechnęła się odsłaniając równe białe zęby.

– Bo i jest czemu. Dobrze się bawisz?

– Wyśmienicie. – Ujęła inkwizytora pod ramię i ruszyła wolnym krokiem przez hall. – Ojciec czeka w bibliotece. Zaprowadzę cię.

Odprowadzani ukłonami wyminęli skupione pod ścianą matrony, wpadając na grupkę roześmianej dzieciarni. Nim Maja zdążyła je zrugać, łobuziaki rzuciły się między wirujące w tańcu pary, ruszyli tedy dalej wzdłuż podium dla grajków, aż do drzwi w drugim końcu sali.

– Ojciec? – zapytał Hedaard, odpowiadając skinieniem niedbale na padające zewsząd uprzejmości. – Nie mówiłaś, że jesteś córką wójta. Powinienem jeszcze o czymś wiedzieć?

– Nie pytałeś – odparła, wydymając wargi.

– Jakie tajemnice skrywasz, brzeginko?

– Jeśli ci powiem, przestaną nimi być...

– Maja! Maja! – słomianowłosy malec oderwał się od grupki urwisów i uwiesił na dłoni dziewczyny. – Kołacz chcę! Kołacz!

– Twój? – Hedaard uśmiechnął się złośliwie.

Parsknęła w odpowiedzi.

– Nie zmitręz tam za długo. Pamiętaj, co mi obiecałeś...

– Daj dziecku kołacz. – Błysnął zębami szyderczo i zniknął za drzwiami.

Dalej była kolejna sień z wielkim oknem wychodzącym na pogrążony w mroku ogród. Inkwizytor przebył ją szybko i, nagle, zatrzymał się przed niedomkniętymi drzwiami. Mimo odgłosów festynu wyraźnie słyszał głos ojca Chryzanta.

– ...wie o księgach – mówił. – Trzeba coś z tym zrobić, zanim wszystko wyjdzie na jaw.

– Pozbądźmy się go – skwitował ktoś basem.

– Będą go szukać... zadawać pytania – zaoponował inny głos, dodając coś jeszcze niezrozumiale.

– Plan był taki, że przyjdzie, powęszy i wyjedzie nie znajdując niczego, a od nas odsuwając wszelkie podejrzenia. A teraz?

– Góry są niebezpieczne – odparł bas. – Mógł zginąć w drodze powrotnej.

– To nie będzie takie łatwe – wtrącił Chryzant niepewnie. – Chłopak opowiadał co się stało w Lutnej. Sześciu chłopca samojeden ubił... Oddaj mu książki i niech stąd jedzie.

– I co jeszcze? Może złota na drogę sypnąć? – zakpił bas. – Dym w oczy. Nie wierzę ja w te baję, wielebny. Sześciu chłopca! Kto niby ma temu dać wiarę?

– Chłopak wszystko widział...

– Łajno tam widział smark! Ja wam powiadam, trza go – tu nastąpiła przerwa i Hedaard jedynie mógł się domyślać towarzyszącego jej gestu – i po sprawie.

– Tacyście mądrzy, panie wójcie, to się go pozbądźcie!

– A pozbędę! Zobaczycie! Ale cosik widzi mi się, że inaczej podział wypadnie, panie Dziwigorze. Podle zasług!

– Dla siebie wszystko chcecie, co, mości Suliradzie?

Padła jakaś niezrozumiała odpowiedź, wnioskuje z intonacji niezbyt cenzuralna.

– Zawrzyjcie lepiej gęby! – uciał Dziwigor. – Ma tu być lada chwila.

– Na pewno przyjdzie? Mówił coś, wielebny?

– Tak, rzekł. Mam pójść po niego?

Hedaard cofnął się kilka kroków cicho. Odczekał długą chwilę, a gdy muzyka w sali za plecami przycichła ruszył, stąpając głośno. Zatrzymał się przed drzwiami, zastukał w nie pięścią i nie czekając na odpowiedź otworzył.

– Czolem, waszmościowie!

Zgromadzeni zgięli się w ukłonach, mało im peruki nie pospadały.

– Wasza wielebność – rzekł wójt basem. – Pozwólcie, to podsędek Wojan – młodzieniec o gęstym czarnym wąsie zwisającym poniżej brody ukłonił się – a to cześnik Dziwigor – mężczyzna o siwych włosach wymykających się spod sztucznej koafiury skłonił lekko głowę. – Napijecie się czegoś?

– Miodu, oczywiście. – Hedaard przeszedł przez salę i zajął jedyne krzesło, właściwie bardziej fotel, za solidnym dębowym biurkiem. Ojciec Chryzant stojący najbliżej sięgnął do karafy i obsłużył gościa. – O czym radzicie, panowie?

– Mówiliśmy właśnie, że nie tego spodziewaliśmy się zanosząc supliki do jego ekscelencji biskupa, wielebny Hedaardzie – rzekł hardo wójt. – Trzeci dzień już tu bawicie, panie, a strzyga nadal zagraża mieszkańcom wsi i sieje postrach. – Spojrzał po zgromadzonych. Poparły go ponure pomruki.

– Czas coś z tym wreszcie uczynić, albo posłać po prawdziwego fachowca!

– Powolutku. – Inkwizytor rozsiadł się wygodnie w obitej skórą berżerze, poprawił aksamitną poduszkę pod siedzeniem, odchylił mebel w tył. Brakło tylko, by wyłożył nogi na blat. – Pomału, bo jeszcze coś gotowe nam umknąć. Waszmościowie sugerują moją opieszałość, a tymczasem wyjaśnione zostało zaginięcie brata Kastyna, prawdziwy powód mego tutaj pobytu – splótł palce składając na brzuchu tonące w koronkowych mankietach dłonie. – O strzydze jego świętobliwość biskup słowem nie napomknął. Ale i tą sprawą, zaręczam, mam zamiar rychło się zająć, zwłaszcza, że, widzi mi się, łączą się one obie.

Cisza, jaka zaległa, bodła nieznośnie w uszy Sulirada i jego gości. Hedaard sięgnął po kielich. Sączył trunek powoli, niespiesznie, delektując się. Nikt nie ważył się odezwać.

– Rzeknijcie mi zatem, panowie, w jakim to celu brat Kastyn aż dwukrotnie odwiedził Trzy Dęby? Bo przecież biskup raz w roku tylko dziesięcinę i dzierzawy zbiera.

– Sprawa jakowaś go trapiła – odzwał się Chryzant nieśmiało, nie podnosząc wzroku w białego w klepki parkietu. – Przybył szukać wyciszenia i modlitwy...

– Akurat do waszego siola? A cóż takiego wyróżnia tutejsze sanktuarium, że brat Kastyn właśnie je wybrał, miast prosić o pomoc swego spowiednika w Hradcu? I czemuż nikt wcześniej mi tego nie rzekł?

Kapłan rozłożył ręce bezradnie.

– Dajmy temu na razie pokój. W trakcie procesji pozwoliłem sobie, ojcze, zajrzeć do ksiąg parafialnych. Z dniem 27 marca zapisano tam coś w rubryce zgony, a potem zamazano. Co takiego?

– Pomyliłem się... musiałem wymazać...

– Rozumiem. Zejście z tego świata to błaha sprawa, łącno można się pomylić.

– Nnnie...

– Prawdę wielebny ojciec rzekł – oznajmił małowówny dotąd, najmłodszy w towarzystwie, Wojan, który najwyraźniej miał przykazane trzymać gębę na kłódkę. Sulirad zauważalnie syknął, wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. – Wpis tyczył się Damroki, panie. Powiesiła się nieszczęsna, tedy jest przeklęta i wszelka pamięć o niej zaginać powinna.

– Nie mogła spocząć w poświęconej ziemi – podchwycił Chryzant – zatem z żalem musiałem ją wykreślić spośród pobożnych parafian. Nie dla niej życie wieczne w niebiesiech u boku Jedynego!

Hedaard zmierzył towarzystwo lodowatym wzrokiem.

– I nie przyszło wam na myśl, że oto właśnie może być wasza strzyga?

– Cóż, po prawdzie to nie – mruknął cześniak Dziwigor. – Zali nie wystarczy ją na rozstajach pogrzebać pod kamiennym kopcem?

– Tak uczyniliście?

– Jako żywo! – zawołał Wojan podnieconym falsetem, rad najwyraźniej, że tak sprytnie udało mu się wybrnąć po niezręcznym puszczeniu pary z gęby. – A ten tu ojciec Chryzant jeszcze anatemę dla pewności odprawił!

– Co zrobił?

– Odprawiłem egzorcyzmy. Zaś na mogile zasadziliśmy krzak głogu...

– Mogę zobaczyć to miejsce?

– Oczywiście. – Spojrzenia kapłana i sołtysa spotkały się, co nie umknęło uwadze inkwizytora. – Jutro ktoś waszą wielebność zaprowadzi.

– Skoro wykluczacie, że to owa Damroka, to kto? Przecie nie Morungijczycy ze Służnik, jak chce chłopstwo?

Odpowiedzią były niezrozumiałe pomruki.

– Mości panowie, oczekujecie ode mnie leku na wszystkie bolączki Trzech Dębów, a nie potraficie odpowiedzieć na żadne pytanie. Ba, nawet najprostsze z nich zbywacie wzruszeniem ramion zasłaniając się niewiedzą. Tymczasem musi być wam wiadome, że brata Kastyna nie strzyga ubiła, kiedy pojawił się tu po raz drugi wbrew oczekiwaniom, albowiem nikt tu o niej przed kwietniowymi kalendami nie słyszał. – Hedaard celowo pominął prawdziwą przyczynę śmierci zakonnika. – Wiecie chociaż kiedy Kastyn należności biskupie odebrał, czy i takie drobne sprawy umknęły waszmościów uwadze?

Wójt kaszlnął, potarł nos, aż coś w nim zachrząściło.

– To akurat pamiętam. Zaraz po styczniowym nowiu przyjechał wraz z dwoma pachólkami dla obstawy. A że śnieg drogi zawałił krótko potem i mróz ścisnął, aż do świętego Laskariusza zabawił. Wtedy odwilż pierwsza nadeszła i drogi znów stały się przejezdne.

– A po co drugi raz przyjechał?
– A kto go tam wie? Wasz to konfrater, jakby nie patrzeć. Wy mi powiedzcie tedy.
– Nie zabrał złota za pierwszym razem?
– Nic mi o tym nie wiadomo. To, co się biskupowi ode mnie należało, co do miedziaka zainkasował.
– Dużo tego było?
– Trzydzieści grzywien, co daje dwa tysiące dwieście dwadzieścia halarów... – Sulirad słyszalnie zgrzytnął zębami.
– No, no. Dochodowa ta wasza dzierżawa. I tylko dwóch pachółków dla ochrony miał?
– Więcej złota było – wtrącił Wojan, chcąc pokazać, że jest niegłupi i na ekonomii też się wyznaje. – Bo jeszcze dzierżawy mojego ojca i dziesięcina. Razem trzydzieści grzywien.
– Jego ekscelencja biskup, wybaczenie, skąpy jest – skwitował cześnik, pocierając brodę dłonią, jakby sprawdzał, czy brzytwa zostawiła ją dostatecznie gładką. – Jak się da na coś oszczędzić, to na pewno oszczędzi, a zaciężni, w dodatku niegłupi i godni zaufania, najtańsi nie są. Stąd nigdy nie wiadomo, kiedy biskupi poborcy po należność przybieżą. Zawsze dla nich złoto narychtowane trza mieć, a rok długi. Kto wie jak będzie?
– Oj tam złoto – zachnął się Sulirad. – Poborcy ino weksle chcą. Wiadomo, mniejsze, łatwiej ukryć, a w potrzebie to i zeżreć można, coby w niepowołane łapy nie wpadło. I zaciężnej chorągwi dla eskorty nie trzeba.
– Dość, dość! – Chryzant wznosił dłonie dramatycznym gestem, rozmowa obierała bowiem coraz bardziej niebezpieczny kierunek. – Nie lza o pracy i mamonie gadać, kiedy dzień święty! Grzech to ciężki i obraza dla naszego gościa, którego po prawdzie zaprosiliśmy tu nie po to, żeby o ponurych sprawach rozprawiać, a by godnie, chwalebnie i radośnie przeżyć solstycjum. Tak, jak naucza nas święta Hildegarda.
– Zdrowie waszmości!
– Zdrowie!
– Zdrowie!
– Niechaj Aedonea nam sprzyja!
Puchary powędrowały w górę, przelewając swą zawartość w wyschłe gardziele.
– Ze smutkiem będę musiał już waćpanów opuścić – oświadczył Hedaard spełniwszy toast. Odstawił fletowaty kielich i podniósł się z fotela. Gra pozorów w wykonaniu soltysa i jego kompanów była wyjątkowo mierna, ale udał, że jej nie przejrzał. – Miłego świętowania życzę. Ostańcie z Jedynym.
– Niechaj i was On prowadzi, wasza wielbność.
Bębny w sali reprezentacyjnej zadudniły głośniej wybijając skoczny rytm. Zawtórowała im basetla i skrzypce. Głos zachęcający pary do tańca dało się słyszeć aż w korytarzu.

*

Większość drogi ze wsi pokonali w milczeniu, rozkoszując się ciepłym, pachnącym ziołami powietrzem. Maja, jak to niewiasta, nie wiedząc kiedy zdążyła zmienić szaty, zastępując wykwinną suknię lnianym giezłem i ciepłym wełnianym płaszczem. Włosy puściła luzem. Prowadziła w mroku pewnie, jakby żwirowa ścieżka nie kryła przed nią żadnych tajemnic. W drodze minęli jeszcze kilkoro spóźnialszych, którzy pozdrawiali ich wesołym słowem, a milkli, rozpoznawszy w mroku jej towarzysza. Dziewczyna nie komentowała. Maszerowała niespiesznie trzymając inkwizytora pod ramię, zamyślona, tajemniczo uśmiechnięta. Kiedy dotarli prawie do ściany lasu, w niebo za ich plecami wystrzeliły z hukiem i błyskiem fajerwerki. Odpowiedziały im radosne okrzyki spośród drzew, ktoś pięknym, czystym głosem zaintonował pieśń. Zaraz zawtórowały bębny, skrzypki i burczybas. Las odpowiedział echem. Nikt najwyraźniej nie zamierzał się z niczym kryć. Prowadzeni światłem ogni zeszedli ścieżką w dół, na polanę z kamiennym idolem, i tu Hedaardowi omal zaparło dech. Ogniska płonące wszędzie dookoła rzucały ciepłą pomarańczową poświatę, w której kłębiły się zapamiętałe w tańcu pary. Dopiero po długiej chwili dało się to ruchome teatrum światła i cienia przebić wzrokiem, by dostrzec obciążone beczkami wozy na obrzeżu polany, czy rżnących od ucha grajków. Rozradowany tłum śpiewał i tańczył jakby jutro miano tego zakazać. Ktoś, wcisnął w dłoń Hedaarda róg, przez którego brzegi przelewało się pieniste mocne piwo. Jakaś niewiasta chwyciła jego

drugą dłoń starając się oderwać od towarzyszki, zaraz jednak sama uleciała w mrok w czyichś objęciach. Ktoś inny nałożył wianek z polnych kwiatów na głowę Mai, złożył na jej ustach soczysty pocałunek, a potem zniknął porwany przez roztańczoną falę.

– Chodź – rzekła dziewczyna i pociągnęła Hedaarda za sobą – chcę ci coś pokazać.

Postąpił za nią posłusznie, zatrzymując się tylko, by spróbować złocistego napoju. Przedarli się przez zgromadzenie ku posągowi, który teraz, nocą, sprawiał wrażenie jakby spod nagromadzonego przez stulecia mchu obserwował swą trzódkę. Jakby blask ognia łowił z mroku przebudzone nagle, zwrócone w cztery strony świata oblicza. Zdawał się wyższy i potężniejszy niż za dnia, roztaczając dookoła odwieczny spokój i dostojność. Z jego cienia, niczym pływak z tafli wody, wyłonił się zasuszony starzec o sięgającej pasa, bielejącej niby kreda, brodzie. Skinął na nich sękatą powykręcaną dłonią, drugą wspierając się na kosturze.

– Przyprowadziłaś zaiste niezwykłego gościa, Maju – ozwał się szeptem, o dziwo jednak usłyszeli go nad zwyczaj wyraźnie, jakby głos rozbrzmiał w ich głowach. – Witaj, prastary. Zechcecie napić się Miodu Ranuta?

Dziewczyna spojrzała na Hedaarda, zdziwiona tytułem, jakim przywitał go starzec. I choć w jej oczach kryło się pytanie, nie zadała go. Czekala cierpliwie na odpowiedź.

– Tak, wołchwie.

– Chodźcie zatem za mną.

Starzec pokuszył wolno w gęstwinę za posągiem. Bawiący się ludzie rozstąpiwszy się, otworzyli drogę ku przerzuconemu ponad potokiem mostkowi, którego – Hedaard dałby za to głowę – nie było tu poprzednio. Za nim ścieżka oświetlona wetkniętymi w ziemię pochodniami, wspinała się zakosami na niewielki pagórek, a tam, na szczycie stała kryta strzechą kapliczka wzniesiona dla osłony drewnianego posągu. Świątek nie był tak okazały jak jego kamienny brat, za to, choć również wiekowy, nie nadgryziony zębem czasu. Wycięte w drewnie detale były wyraźne, do tego podkreślone przez jaskrawe barwy. Nieruchome powietrze przesycił zapach kadzidla i starego drewna. I jeszcze czegoś. Czegoś, co nieodparcie kojarzyło się z zapachem zalegającym w świątyniach. Wokół panowała cisza. Gęste liście skutecznie tłumiły odgłosy zabawy. Przepuszczały jedynie bardziej wyczuwalny, niż słyszalny puls bębna i niski głos burczybasu. Kapłan wyjął z wyrzeźbionych dłoni posągu zdobiony srebrem róg i podał Mai. Dziewczyna bez wahania podniosła go do ust, a potem przekazała Hedaardowi. Miód nie smakował podobnie do jakiegokolwiek trunku, jaki zdarzyło mu się kiedykolwiek wypić. Był słodki i równocześnie cierpki. Zdawał się być słaby i delikatny, jednak palił język i gardło po przełknięciu.

– Svarun przemówi do was – oświadczył wołchw odbierając naczynie. – Posłuchajcie jego słów!

Zgarbiwszy się podreptał w stronę drewnianego bóstwa i zniknął w ciemności.

Przez chwilę nic się nie działo. Ucichł nawet szeleszczący liśćmi wiatr.

Wielka niby srebrny soldar tarcza księżycy wyprysnęła z nad ściany lasu, pomknęła przez gwieździste niebo i znów skryła się za widnokrzem. Zaraz za nią na niebo wzbilo się nienaturalnie wielkie słońce. W mgnieniu oka osiągnęło zenit i tak zamarło. Cienie, gnające przez kilka uderzeń serca jak opętane, zatrzymały się, maleńkie i słabe. Hedaard spojrzął w bok, nie dostrzegł nigdzie Mai. Nigdzie nie było też kapłana. Wszędzie wokół unosiła się mgła. Skrywała las gęstą kotarą, klębiąc się wokół kapliczki. Martwe oczy świątka, czarne, obwiedzione bielą niby środek strzeleckiej tarczy, zdawały się wołać, przyciągać wzrok, wlepione w pobladłą twarz inkwizytora. Niemożliwym było oderwać od nich spojrzenia.

– Strzeż się tego, co wydaje ci się oczywistym, synu Nytii – ozwał się cichy głos. – Przy końcu drogi dogodna ścieżka jest grząskim bagnem. Nie odrzucaj pomocy, bowiem błędzi każdy. To, czego szukasz, wciąż jest w zasięgu ręki, choć raczej masz, że niczego nie zyskasz.

Hedaard chciał otworzyć usta, nie był jednak w stanie nawet drgnąć.

Oczy świątka rosły. Dwa czarne dyski, tafle matowego obsydianu, powiększały się aż zniknęło wszystko inne. Wtedy ponad ledwie widoczną strzechą zabłysły gwiazdy.

Kapłan klęczał przed posągiem zgięty w ukłonie. Zabawne, ale tkwił tam cały ten czas. Ile właściwie?

Moment.

Zaledwie chwilę.

Księżyc wciąż wisiał nad horyzontem, nie wychyliwszy się znad gęstwiny drzew. O jego obecności świadczyła tylko delikatna poświata.

Otrzeźwiający ból w ramieniu. To Maja z całej siły zaciskała palce, oszołomiona i zdezorientowana. Długie rzęsy wachlowały z każdym mrugnięciem, oczy błyszczały niesamowicie.

– Bogowie przemówili! – Wolchw stanął pomiędzy drewnianymi słupami, wsparł się na kosturze. Posąg za nim beznamiętnie spoglądał przed siebie.

– Co było w tym miodzie? – zapytał Hedaard cicho. W ustach wciąż czuł niezwykle smak.

– Nic. To zwykły miód. Nie stój tak, chodźmy już.

– Dokąd teraz?

– Do jeziora. Obmyć się.

– Do jeziora? Rację tedy miałem – jesteś prawdziwą brzeginką.

Parsknęła śmiechem i pociągnęła go za rękę.

Ścieżką za chramem Svaruna zbiegli w dół, na drewniany pomost. Ich stopy zadudniły o deski. Znów słyszeli odgłosy zabawy niosące się nad zmarszczoną taflą. Gdzieś, niezbyt daleko, rozległy się śmiechy.

Maja zatrzymała się na końcu pomostu. Zdjęła koszulę przez głowę, rozplątała rzemienie i zrzuciła ze stóp sandały.

– No i na co się tak gapisz? – zapytała przekrzywiając głowę i biorąc się pod boki. – Czekasz aż herold otrąbi zaproszenie?

– Nie – odparł Hedaard niespiesznie rozpinając guziki surduta – podziwiam niezwykłą wprawę z jaką pozbywasz się przyodziewku.

– Wolalbyś, bym przyszła w całej sukni, opatulona tuzinem halek, zasznurowana w gmentowej bieliźnie? Nocy by nie starczyło, żeby to z siebie zdjąć. Nawet gdybyś mi pomagał – przygryzła wargi – z całą twoją wprawą.

– Niektórzy to uwielbiają. Bywałem w miejscach, gdzie oblubienica specjalnie tak jest przystrajana na pokładziny.

– Czy jest coś, czego nie wiesz, albo miejsce, gdzie nie byłeś?

– Owszem. Jeśli nie będziesz tyle gadać, damę słowo, że zabiorę cię w wiele z nich.

Skoczyła w wodę. Na kilka uderzeń serca zniknęła, aż tafla zdążyła się uspokoić, a potem jej głowa pojawiła się o pół rzutu kamieniem, budząc nowe fale. Nie dałoby się jej zauważyć gdyby nie księżyc, który postanowił wyłonić się zza zębatej linii drzew, kładąc na wodę srebrzyste smugi. Hedaard wydostał się wreszcie z szat i także skoczył z pomostu. Wynurzył się tuż obok dziewczyny.

– Wreszcie – zamruczała, oplatając jego szyję ramionami. – Powiedz mi, czemu wolchw nazwał się prastarym?

– Bo JESTEM stary?

– Przestań się wreszcie naigrawać ze mnie. Myślisz, że oczu nie mam? Przecież widzę, że możesz mieć góra dziesięć lat więcej niż ja.

Hedaard roześmiał się. Wymacał stopami zwirowate dno i stanął, pozwalając się opływać ciepłemu prądowi.

– Kiedy przyszedłem na świat niebo wyglądało inaczej. Od tego czasu gwiazdy zmieniły swój układ...

– Mówiłam, żebyś sobie ze mnie nie dworował – szepnęła, ale już bez pewności w głosie, uderzona myślą, że może to być prawda. Targnęła się niczym wyrzucona na brzeg ryba, a potem uspokoiła. Przytuliła mocniej, drżąc lekko, choć woda była przyjemna.

– A ile ty właściwie masz lat, Maju?

– Dziewiętnaście. Czemu pytasz?

– Nie powinnaś od dawna być żoną jakiegoś szacownego włościanina?

– Co!? – warknęła, zapominając o niepokoju. – Wioskowego ćwoka? Jeszcze czego?! Jestem szlachcianką bądź co bądź.

– Wiem, wiem. Czemuś mi wcześniej nie powiedziała?

– Czego?

– A choćby tego, że Sulirad jest twym ojcem.

– Nie pytałeś.

– I sądzisz, że jest szczęśliwy z powodu tego co robisz? Przecież musiał widzieć, że się kręcisz koło mnie?

– No i widział. Zgrzyta zębami, ale nic nie powie, bo się ciebie boi. A ja gwizdzę na to, co myśli. Nie zrozum mnie źle, kocham ojca, ale mam wolną wolę, ot co.

– Wolna wola kończy się tam, gdzie zaczyna pas w ojcowskiej dłoni...

– No i co? Spierze mnie? Wielkie mi co. Nic gorszego i tak już nie może mi zrobić, niż uczynił dotąd.

– Znaczy się?

– Widziałeś te tłumy zalotników walące drzwiami i oknami dworu? Ja też nie. Za kmiota nie wyjdę, a lepsza partia... Cóż, ojca nie stać na posag dla mnie i wszyscy w okolicy o tym wiedzą. On sam tylko przemyśliwuje, jakby tu się mnie pozbyć. Po żniwach mam jechać do klasztoru w Svednov... Miałyśmy jechać razem, ja i Damroka, ale Damroka nie mogła tego znieść... W końcu nie wytrzymała... i... i już jej nie ma... – przez moment Hedaard był pewien, że dziewczyna się rozplacze, ale ona połknęła lzy i uniosła hardo głowę. – Majątek przejdzie w ręce Mieszka. On jest potomkiem, którego nie była w stanie dać ojcu moja matka. Jego obowiązkiem jest przedłużenie rodu. Nic innego się nie liczy.

– Berbeć, który domagał się od ciebie kolacza?

– Tak.

– A kim była Damroka?

– To moja starsza siostra... – tym razem łez nie dało się powstrzymać. Nie pomogło nawet przygryzanie warg do krwi. – Proszę, zabierz mnie stąd! Powiedz... powiedz, że i ty mnie miłujesz

– Nie wiem, czy jeszcze potrafię kochać – odparł, pozwoliwszy jej wypłakać. – Ostatnia, którą kochałem, rzekła mi, że za mną kroczą tylko śmierć i zniszczenie. Było to... dawno temu.

– Okłam mnie. Proszę.

– Nie okłamię cię. Na pewno nie w takiej sprawie.

– Jesteś chyba pozbawiony uczuć! Masz głaz zamiast serca!

– Być może. Ale ile razy możesz się zachwycić wschodem słońca, jeśli codziennie zrywasz się przed świtem? Próbowałem w życiu wszystkiego. No, niemal wszystkiego, bo niektórych rzeczy nie spróbowałbym nawet po to, aby poczuć odmianę. Nawet nie wiesz, ile bym dał, żeby znów poczuć coś naprawdę. Cokolwiek, nie musi to być miłość. Naprawdę cokolwiek. Smutek, żal, rozpacz. Z czasem wszystko stało się powszednie, nawet nienawiść, choć ta chyba towarzyszyła mi najdłużej. Sam już nie wiem, czy mój cel wynika z niej, czy dążę do niego, bo tak kiedyś postanowiłem? Bo zwłaszcza ja muszę mieć jakiś cel. Wierz mi, chciałbym, abyś to właśnie ty sprawiła, że znów odkryję w sobie coś więcej, niżli tylko znużenie.

– Może to jest właśnie twoja szansa? Ta noc, gdy natura odradza się w odwiecznym cyklu?

Nie odpowiedział. W milczeniu gładził jej mokre, pachnące rumiankiem włosy. Spłoszony ptak poderwał się gdzieś w szuwarach do lotu, głośno bijąc skrzydłami.

– Co rzekł ci Svarun?

– Nic, czego bym dotąd nie wiedział. Za to w strasznie zawilej formie.

– Mnie mówił o nadziei. O tym, że osiągnę to czego pragnę, choć nie będzie to tylko radość, ale i ból.

– Jak świat światem, kapłanom zawsze brakło fantazji.

– To żadne fantazje. Przecież sam słyszałeś.

– Słyszałem, co rzekł nam wolchw, gdy wypiliśmy narkotyk w winie.

– Wiesz, że nie...

– Mniejsza z tym. Płynmy do brzegu.

– Hed?

– Jestem tu, Maju.

– Weź mnie. Proszę.

Kochali się, aż ucichły wszystkie odgłosy świętowania. Księżyc wspiął się wysoko i zaczął wędrować ku zachodowi, w ciszy obdarzając ich srebrzystym blaskiem.

Spowiedź ojca Chryzanta

Lelki kozodoje rozkrzyczały się, kiedy zobaczyli w świetle wstającego świtu pierwsze chaty Trzech Dębów. Niebo na wschodzie czerwienilo się, jakby kto wylał na nie kubel farby, barwiło strzechy żywym ogniem, kładło na drogę smoliste cienie, litościwie kryjące pobożowisko pozostałe po wieczornej uczcie. Hedaard puścił dłoń Mai i pognał między budynki jeszcze zanim usłyszeli mrozący krew w żyłach krzyk. Przeskoczył płot z tyczek, stratował zagon lnu, w który wpadł po kolana, przeciął wiodącą przez sioło drogę i wybiegł na tyły zabudowań, między spichrze i stodoły. Ojca Chryzanta na stercie rozrzuconej słomy zauważył wiodąc wzrokiem za krwawym śladem na klepisku. Kapłan żył jeszcze, ale gasł z każdym uderzeniem serca pompującego krew z rozszarpanej arterii.

Ręka inkwizytora sama powędrowała w prosty srebrny kosz rapiera. Broń z sykiem wyskoczyła z pochwy, błysnęła w pierwszych promieniach słońca.

Atak nastąpił błyskawicznie, zdradliwie. Cicho. Długie zagięte szpony chlasnęły w szyję Hedaarda, natrafiły jednak pustkę. Potworzyca ze zwierzęcym warkotem przemknęła przez plac i długim, niemożliwym susem wskoczyła na dach spichlerza. Zachwiała się. Dachówki sypnęły się spod jej stóp. Odwróciła się zwinnie i przycupnęła na krawędzi, ze zdziwieniem konstatuując krwawą szramę na boku. Tam, gdzie ukąsiła klinga rapiera.

Hedaard ruszył wolno przez podwórze przyglądając się strzydze ciekawie. A było na co popatrzeć. Z ludzkiej istoty niewiele zostało poza długimi skudlonymi włosami i strzępami brudnego odzienia. Choć zdawała się wychudzona i mizerna, pod sinoniebieskawą skórą grały mięśnie napięte jak okrętowe liny. Z twarzy ziały nienawiścią czarne niby węgle oczy, tuż ponad małym spiczastym nosem i paszczą od ucha do ucha, wykrzywioną w zębatej parodii uśmiechu. Przykucnięta wyglądała prawdziwie jak gargulec.

Poderwała się nagle, rozcapierzając zakrzywione szpony. Z dachu sypnęło, zakurzyło. Hedaard rzucił się na spotkanie, uskoczył, aby minęła go w pełnym pędzie, ciał włąz z zamachu, szeroko, nie patrząc, na wycucie. Poczul jak sztych grzęźnie w ciele i coś gruchnęło obok o ziemię. Potworzyca potoczyła się jak zwinięta szmata, brocząc obficie krwią z rany na krzyżu. Niemrawo usiłowała znów się poderwać, ale bezwładne nogi odmówiły posłuszeństwa, składając się pod nią jak roztrzaskane krzesło. Inkwizytor zbliżył się ostrożnie, myśląc wodząc opuszczonym rapierem. Syczała niczym rozwścieczony kot, szczerząc oślinione kły. Nic więcej nie była w stanie zrobić. Hedaard skoczył niespodziewanie, zwinnie unikając szponiastych łap. Klinga spadła w precyzyjnie wymierzonym cięciu, uderzyła końcem głowni, przeszła dalej, jakby nie napotkała oporu, rozrzuciła na boki kropelki juchy. Głowa bestii spadła, potoczyła się i zamarła z twarzą litościwie oblepioną włosami.

– Damrokaaaa...!

Maja wpadła na plac uzbrojona w jakiś drąg. Potknęła się. Upadła twarzą prawie na wprost odciętego łba, zanosła się szlochem.

Hedaard spojrział w bok, doskoczył do wrót stodoły.

– Wasza... wielebność... – wyjąkał słabo kapłan. – To ty...? – Oczy miał zeszlone, ewidentnie spoglądał już na tamten świat.

– Ja, ojcie. Leż spokojnie.

– Na nic... mi to... nijakiej już... pomocy... Posłuchaj mnie...

– Słucham.

– Całe złoto... i księgi... wszystko co... cenne... Sulirad...

– Dostyc już tego! Rzuć rapier, wasza wielebność.

Wychodzili wolno zza parkanu, spomiędzy spichlerzy. Sołtys, podsędek Wojan i cześnik Dziwigor, do tego kilku pacholków. Wszyscy uzbrojeni w pałasze i rapiery, jeden w bandolet, teraz wymierzony w inkwizytora. Wszyscy z paskudnie zaciętymi minami, oczami gorejącymi od przepicia, wciąż nieotrzeźwiali po libacji.

– Wystarczy. To już koniec. Odłóż oręż, wielebny – ciągnął Sulirad, sam jednak nie wetknął rapiera do pochwy. Jego towarzysze rozeszli się w zacieśniający półokrąg.

– Wy mi mówicie, bym odłożył oręż? – parsknął Hedaard oceniając szybko przeciwników. – Pierwej wy odłóżcie i odwołajcie zbirów, zanim komu się co niedobrego stanie...

Nie stało. Przynajmniej nikomu z Suliradowej kompanii.

Inkwizytorowi za to niebo runęło prosto na grzbiet, zważyło z hukiem na głowę. Ale to tylko Maja zdzieliła go krzepko drągiem, wypychając powietrze z płuc. Odwrócił się chwiejnie, usiłował zasłonić wzniesionym rapierem, jednak niezbyt sprawnie, bo i we łbie huczało mu jak we wnętrzu

dzwonu. Wyśmienita aquiseńska stal jęknęła raniącą uszy wysoką skargą i pękła zostawiając w dłoni rękojęść i sterczący z niej kikut poszczerbionej klingi.

Następnego ciosu nie poczuł.

*

Obudziła go suchość w ustach. Czuł się jakby zjadł miskę piachu i zagryzł garścią słomy. Gdy spróbował się poruszyć, zorientował się, że kończyny krępuje mu solidny konopny sznur. Jedyne co pozostało, to otworzyć oczy i ułożyć się wygodniej, dając nieco wytchnienia związanym z tyłu, zdrętwiałym dłoniom.

Leżał na zaśmieconej słomą i plewami podłodze z wydeptanych głęboko, wyświeconych desek. Kilka kroków dalej, pod ścianą, siedziała Maja. Podbite oko i krew rozsmarowana pod nosem kontrastowały z białością twarzy.

– A to ci siurpryza – rzekł Hedaard, siadając z trudem i opierając się o wypchane zbożem worki. Wiodące z czoła na podbródek ścieżki z zaschniętej szerniałej krwi kruszyły się przy każdym słowie. – Gdys mnie zmacała w ciemność, pomyślałem, żeś na łeb upadła. Teraz widzę, że miast tego palnęłaś się weń solidnie.

Burknęła coś niezrozumiale.

– Rozumiem, że Sulirad okazał wdzięczność i prawdziwe ojcowskie uczucie?

– Niech go bogowie pokarzą – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Wybacz mi, Hed. Wybaczysz? Naprawdę nie wiedziałam, że mój ojciec... Czemu właściwie nas zamknęli?

– Jak to, nie wiesz? To czemu chciałaś mi roztrzaskać czerep?

– Bo, myślałam, nie ustąpisz i dasz się zasieć... albo zasieciesz ojca.

– Ech, niemądra dziewczyno – syknął, gdy ból głowy dał znać o sobie. – Długo już tu jesteśmy?

– Dzień cały prawie. Niedługo wieczór.

– A gdzie jesteśmy?

– W jednym ze spichlerzy ojca.

– I zgaduję, że nikt nas tu przypadkiem nie usłyszy, ani nie zobaczy?

Pokręciła głową.

– Jesteśmy kawałek od wioski, zaraz przy starym młynie. Nikt tu się nie kręci, bo i po co? Hed, co z nami będzie?

– Ty się pewnie wykpisz różgami na rzyci i przeprowadzką w klasztorne mury. Ja to inna sprawa...

– Chyba nas nie zabiją? Hed?

– Gdyby chcieli, już by to zrobili. Póki co żyjemy, ale nie mam złudzeń. Góry są niebezpieczne. Mogłem zginąć w drodze powrotnej, albo mnie strzyga rozszarpała.

– Ale przecież oni... nie mogą tak? W końcu to mój ojciec!

– Zatem naprawdę o niczym nie wiesz?

– O czym?

– O bracie Kastynie, złocie...

Maja podciągnęła nogi, zmieniając wymuszoną przez sznur pozycję. Dmuchnęła na spadający w oczy kędzior, wzbudzając przy okazji obłok pyłu.

– Toż gdybym wiedziała, to już dawno bym ci rzekła, kiedyś mnie tak przepytywał.

– Pomyślałem, że jesteś wtajemniczona w sprawy ojca, jak Damroka.

– Najwyraźniej się pomyliłaś...!

– Nie myślałem tak, dopóki mnie nie dzieliłaś w łeb.

– No mówże, o co w tym wszystkim chodzi?

– A Damroka? Nic ci nie mówiła?

– Hed!

– Cała historia wbrew temu co sądzisz, zaczęła się od twojego dziadka. Gdyby nie jego hulaszczy tryb życia, możliwe, że nigdy by do niczego nie doszło...

– Jak to?! Skąd wiesz?

– Widziałem jego zniszczony grób, co nieco też napisał o tym ojciec Makary w swoim dzienniku. Daj mi mówić, dziewczyno. Wstrzymaj się z pytaniami na później. Twój dziadek, jak rzekłem, roztrwonil majątek, w spadku zostawił po sobie tylko liczne długi. Sulirad, nie był w stanie

ich spłacić, toteż wasza ziemia przeszła na własność biskupa, głównego wierzyciela dziadka. Biskup łaskawie nie przepędził was na cztery wiatry, ale zostawił jako dziedzicznych dzierżawców. Mogło być gorzej, ale i tak ciążyło srodze na honorze Sulirada. Drażniło go to i zżerało przez kilka lat. Zwłaszcza, kiedy widział, jakie sumy biskup inkasuje od swych dzierżawców, podczas gdy on musiał żyć jak golec, nie mając nawet na posag dla dorastających córek. Córek nota bene z niezbyt szczęśliwego pierwszego małżeństwa, ale co tam, córka to zawsze córka, a honor to honor. Plan, przypuszczam, musiał kielkować w jego głowie od dłuższego czasu, aż tej zimy został wcielony w życie. Wcześniej zdarzyło się jednak coś innego. Po śmierci Makarego Chryzant wśród pozostawionych przezeń rzeczy znalazł kilka niezwykle cennych, acz nieprawomyślnych ksiąg. Nie wiedział co z nimi począć, wszak sparzył się raz na księgach boleśnie, toteż udał się po poradę do starszyny wsi, czyli twojego ojca, podsędka Lasoty i cześnika Dziwigora. Uradzili sprawę zachować w tajemnicy, przy nadarzającej się okazji księgi sprzedać i podzielić zyskiem. Ojczulek mógł się wprawdzie na to nie zgadzać, ale oni wiedzieli, za jakie grzeszki trafił do Trzech Dębów i go po prostu zaszantażowali. A gdy już raz zboczysz ze ścieżki cnoty, następnym razem niezwykle łatwo ją opuścić. Wróćmy jednak do tegorocznej zimy. Długo zastanawiałem się, czemu brat Kastyn dwukrotnie odwiedził waszą wieś i co tu tak długo robił, a co doprowadziło go do śmierci. Odpowiedź okazała się więcej, niż banalna. Zauroczyła go piękna Damroka. Nie pierwszy to i nie ostatni raz, kiedy młody zakonnik dla niewiasty rezygnuje z powołania. Kiedy zaś Kastyn przybył do Trzech Dębów w lutym, twój ojciec miał już współników. Jeśli sam by się wzbogacił, zaraz by o tym szeptano, ale gdyby wzbogacili się wszyscy mający coś do powiedzenia, sprawę można by utrzymać w tajemnicy. Obiecali zatem Damroce wydanie za mąż i posag, jeśli rozkocha w sobie młodego zakonnika i najwyraźniej urokowi twej siostry nie dało się oprzeć. Kastyn zaplanował wspólną ucieczkę. Już w marcu rozkochany braciszek przyjechał ponownie, a wraz z nim zamienione na weksle złoto z dzierżaw i dziesięcin. I tu pojawił się zgrzyt. W założeniach musiało nie być mowy o morderstwie, albo też Sulirad inaczej to sobie wyobrażał. Aliści w końcu Damroka dała się przekonać. Dźgnęła braciszka, kiedy się nie spodziewał. Niezbyt wprawnie, ale skutecznie. Okupiła to jednak srogo. Wyrzuty sumienia sprawiły, że targnęła się na życie. Nasi konspiratorzy podeszli do tej śmierci wyjątkowo praktycznie. Ojciec Chryzant trafił do Trzech Dębów za magiczne praktyki, toteż zmusili go, by rzucił na zmarłą kłutwę i poddał ich woli. Tak narodziła się strzyga, a kłopotliwi świadkowie zaczęli rozstawać z tym światem. Ci dwaj głupcy, których podpatrzyłaś, jak zagrzebywali brata Kastyna – bo nie potrafili trzymać języka za zębami. Lasota, bo przyjaźnił się z niewygodną panią na zamku Retz. Pisarz i służka, bo usłyszeli pewnie coś, co nie było przeznaczone dla ich uszu. Nie wiem tylko, czym się im naraziła Żyborcka, bo nie widzę żadnego związku. Ale przypadkowa ofiara też mogła być.

– Wojan cholewki do niej smalił, a ona mu czarnej polewki dała, bo przecie chłopka, i tak by się z nią nie ożenił.

– Czyli, znając jego elokwencję, musiał chlapanąć coś jęzorem, żeby ją nastraszyć.

– Biedna... A ty, Hedaard? Powiesz mi teraz, po co właściwie przybyłeś do Trzech Dębów?

– Mnie interesowała pewna księga, która była w posiadaniu Viebeke Retz i dostała się w ręce ojca Makarego...

– Jedna z tych, o których mówiłeś?

– Tak. Podobno spłonęła...

– Ja wiem, gdzie one są!

– Jak to, wiesz? Nie spalili ich? Nie sprzedali?

– Nie. Wszystkie są bezpieczne...

– Cśś... Słyszysz? Ktoś majstruje przy zamku.

– Wasza wielebność, jesteś tam?

– Semko? A gdzie, u licha, mam być?!

Coś trzasnęło, zadudniło o deski. Drzwi otworzyły się z przeszywającym zgrzytem. Na tle wieczornego nieba stanęła niewysoka postać obciążona długim mieczem.

– Semko! Jak tylko będę miała wolne ręce, to cię uściskam!

– Tyś drzwi moim mieczem...?

Pokraśniały z dumy młodzian zmieszał się, zatrzymał w pół kroku.

– Eee... tak.

Hedaard parsknął.

– Dobrze, że go wziąłeś, bo rapier – spojrzal wymownie na Maję – diabli wzięli. Ale masz też coś krótszego, żeby rozciąć więzy? Wybornie. Do dzieła!

Po chwili przysiadł na workach rozcierając nadgarstki, do których wracało krążenie. Maja podniosła się, żeby od razu przysiąść z powrotem, do kompletu siniaków dodając obolałe siedzenie. Bluznęła paskudną wiązką, zadziwiając zarówno inkwizytora jak i Semka. Chłopak jeszcze długą chwilę stał oniemiały zapominając zamknąć usta.

– Moich półhaków aby nie wziąłeś?

– Wziąłem jeden, wasza wielmożność.

– Dobrze i to. Skąd wiedziałeś, że jesteśmy w opałach?

– Podслуchałem to i owo – odparł Semko opierając miecz o słup. – Cały dzień szukałem, gdzie was uwięzili, panie. – Otworzył przewieszoną przez ramię torbę i zaczął wydobywać po kolei flaszkę wina, pęto kielbasy i pół bochenka chleba. – Trzeba nam pospieszać. Po zmroku mają na was psy szczuć.

– Zatem zabiła nas strzyga – stwierdził Hedaard odrywając usta od butli. – Można się było spodziewać. Maju? – podniósł flaszkę w kierunku dziewczyny. Pokręciła głową.

– Pęcherz mi pęka... – jęknęła.

– Nie krępuj się.

– Kiedy nie potrafię przy Semku.

– Mogę wyjść...

– Raczej to ja wyjdę.

Wróciła, zanim przekroczyła próg. Kredyt u fortuny najwyraźniej został wyczerpany.

– Idą tu! Wojan i kilku pacholków z psami!

– Widzieli cię? – Hedaard cisnął w bok nadgryziony glonek chleba. Otarł dłonie o wyswiechtany surdut, chwycił przyniesiony przez Semka półhak, drugą garść zacisnął na pochwie miecza.

– Nie... Tak!

– Niech ich czarna morowa zaraza porwie! Schowajcie się gdzieś i nie wyściubiajcie nosów! Będzie się tu zabijać!

Koniec Trzech Dębów

Poszło łatwo. Za łatwo.

Pierwszego psa postrzelił z półhaka, obalając cetnarową bestię w biegu. Została w miejscu skomląc żałośnie, drapiąc ziemię pazurami. Drugiego ciął zamazyście z bioder, kiedy zwierzę podrywało się już, już, do skoku. Padło gubiąc przednie łapy, sikając wokół juchą. Krwawe widowisko nie zatrzymało jednak obwiesiów Wojana. Z wrzaskiem rzucili się na inkwizytora kupą. Huknęło, ale strzał poszedł Jedynemu w okno, albo był to niewypał. Hedaard nie zauważył żadnego efektu. W kilku krokach dopadł najbliższego draba o podgolonej czuprynie i niewygolonej gębie. Ciął go potężnie, rzucając na burtę stojącego pod ścianą wozu. Następny nie zdążył wyhamować, zadrobił buciarami w miejscu, niezgrabnie zasłaniając się pałaszem. Hedaard chlasnął niezbyt finezyjnie przez gębę, poprawił po krzyżu. Był wściekły. Strzelec skryty za wozem, nerwowo podsypywał prochu na panewkę, kwicząc ze strachu jak świnia. Cięty po rękach, zaczął piszczeć jeszcze wyżej. Ucichł przydepnięty, przyszpilony do ziemi. Majtnął ostatni raz ramionami jak motyl na szpilce i zamarł. Wojan do boju rzucił się jako ostatni. Może i był głupi, ale odwagi mu nie zabrakło. Nie uciekł, kiedy kamraci zgodnie ruszyli w tan z kostuchą. Za późno zrozumiał, że to był błąd. Zdołał sparować zaledwie trzy cięcia. Powaliło go tak zwane gniewne uderzenie, to jest potężne cięcie znad prawego ramienia. Łamiąc zastawę, sztych trafił go prosto w twarz. Podsędek był martwy nim uderzył o ziemię.

Dopiero teraz Hedaard usłyszał szloch Mai. Odwrócił się wolno, choć wiedział, co zobaczy. Semko leżał bezwładnie niczym szmaciana lalka w objęciach dziewczyny. Twarz miał bładą jak porcelana, oczy szkliste, bez życia. Wszędzie wokół była krew. Na rękach, na giele, na deskach i kamieniach wokół, na posiniałych ustach chłopca.

Hedaard milczał. Bo i co miał powiedzieć?

*

Ciszę przerwał pomruk nadchodzącej burzy. Bogowie jeszcze nie zakończyli igrzysk. Kości wciąż turlały się wążąc ludzkie losy. Gwałtowny podmuch wiatru przygiął trawy, zaszeleścił gałęziami. Zawył pomiędzy chałupami, huknął wrotami od obory, którą ktoś zapomniał zamknąć. Trzasnęły ryglowane pospiesznie drzwi i okiennice. Nikt nie miał zamiaru narażać się na gniew nadchodzącej nawałnicy. Nikt nie chciał też posmakować miecza kroczącego środkiem drogi upióra.

W ciągu paru chwil ciepły wieczór zamienił się w czarną jak krucze skrzydła noc. Niebo rozciął kolejny zygzak błyskawicy, a potem wszystko ucichło. Można było zliczyć do dziesięciu, gdyby ktoś tej nocy rachował, a potem huknęło, tak, jakby się góry zapadły. Ziemia zadygotała, posypały się dachówki i gonty. Wiatr zawył ponownie, niby puszczonego ze smyczy ogara, zamiatając piachem i porwanymi z drzew liśćmi.

– Hed...! – nie od razu usłyszał słaby głos. Biegła za nim zmagając się z nawałnicą, zaciskając z całej siły dłonie na polach łopoczącej niczym chorągiew szaty. Zatrzymał się w podcieniach najbliższej chałupy, pozwolił się dogonić. Znów błysnęło. Na moment świat stał się czarnobiały jak na drzeworycie, a potem zagrzmiało. Tym razem gdzieś bliżej. Ziemia zadrżała, jak w czasie szarży pancernej konnicy. Poprzez wichur przedarł się trzask łamanych konarów, coś przeleciało tuż obok zawiadując o podtrzymujący zadaszenie słup.

– Miałaś zostać...! – dalsze słowa utonęły w ogłuszającym bębnieniu grubych kropel deszczu o dachy. Lunęło, jakby niebiański ocean wylał swe wody wprost na wieś.

– Hed... – sapnęła nie mogąc złapać oddechu. – Poniechaj, proszę.

Jego oczy błysnęły lodowato.

– Poniechaj. Dość krwi. Wiem, gdzie księgi, zaprowadzę cię tam.

– Gdzie?!

– Chodź!

Przecięli majdan w strugach deszczu, omal nie zderzając się ze studnią. W ciemności nie było widać dalej niż na dwa kroki. Kiedy wreszcie dotarli do młyna i weszli na śliski mostek, gniew burzy nieco zelżał. Im to jednak było już obojętne. Oboje byli przemoczeni do suchej nitki. Wspięli się po drewnianych schodach i stanęli pod zadaszeniem na progu, otrząsając się z wody. W środku było ciepło i sucho. Deszcz szumiał i bębnił o dach do taktu stukającej na jałowym biegu machinerii. Maja chwyciła zawieszoną z boku latarnię i wyszła na zewnątrz skrzesać ogień. Wróciła zamknięwszy szczelnie szklaną osłonę. Przeszli pod tramem, między tuzinami pękatych worków ustawionych pod ścianami w równych rzędach, wspięli na górny poziom, pomiędzy belkami więźby dachowej. Dziewczyna bez wahania przemierzyła drewniany pomost, szarpnęła kolejny worek, skinęła na Hedaarda. Razem odsunęli ciężki wór na bok, odrzucili stertę pustych, odsłaniając solidny, okuty żelazem kufer.

– Skąd o nim wiesz?

– Nic się przede mną nie ukryje – zachichotała, unosząc lampę.

– Zgaduję, że nie masz klucza do tej kłódki?

– Nie. Ale nie szkodzi. Potrzyj latarnię.

Przyklękła w miejscu, gdzie deski kończyły się, zostawiając pustą przestrzeń przed ścianą. Macała długo w ciemności, bez wahania zanurzając weń dłonie.

– Jest i klucz! – szepnęła triumfalnie.

– Otwieraj.

Wnętrze skrzyni wypełniały poowijane w konopne płótno księgi. Na nich spoczywała niewielka kasetka i kilka pękatych mieszków. Hedaard sięgnął poządlawie po woluminy, odwijając po kolei i odkładając na bok.

– Jest!

– To ta?

– Tak.

– A reszta?

– Też są cenne, ale ich wartość błędnie przy tej. – Przerzucił kilka stron, sycąc się ich widokiem w migotliwym blasku latarni, zatrzasnął księgę, zawiął na powrót w płótno i wsadził w jeden z pustych worków. Zaczął przeglądać pozostałe inkunabuły, zamarł z jednym z nich w rękach. – Diabli nadali! Zasłoń płomień! – syknął.

Było za późno, żeby się cichcem wymknąć. Na dole pojawiło się światło kolejnej latarni, dwa wysokie cienie wyrosły na ścianie, łamiąc się na belkach. Hedaard zacisnął dłoń na rękojeści Dekapitatora, położył palec na ustach. Na próżno, od razu usłyszeli kroki na schodach.

– Ha, znalazły się nasze ptaszki! Wiedziałem, gdzie szukać! – Sulirad uniósł króciwą, przesunął się na bok robiąc miejsce dla Dziwigora. Wyciągniętą w górę latarnią oświetlił poddasze.

– Tym razem się już z tego nie wywiniesz, wielebny! – zawtórował cześnik. – Na co ci przyszło wtykanie nosa w sprawy nie wasze? Toć wiadomo, że jeśli palce między drzwi wetknąć, to sobie je przytrzasnąć można. Dziewkę tylko do zgubyście przywiedli!

– Nie zamordujecie chyba własnej córki, wójcie? – zapytał Hedaard patrząc na Sulirada.

– Martwa ona i tak dla świata, w klasztorze na siedem spustów winna być zamknięta. Życie pędzić w pokorze na medytacji, godzinki klepiąc z dala od cielesnych uciech. Nie mam ci ja już córki, tę bowiem Bogu Jedynemu na służbę oddałem – odparł sołtys. odciągając kurek. Lufy łypnęły groźnie na inkwizytora.

– Nie bądź durniem, Suliradzie. – Hedaard powoli podniósł się z kolan, na kilka cali wysuwając miecz z pochwy. Zatrzymał się w pół ruchu, wpatrzony w palec drżący niepewnie na spuście. – Jeśli strzelisz, całą tę budę pošlesz w diabły.

– Rzuć broń!

– Przerabialiśmy już to. – Miecz wyskoczył z pochwy na całą długość.

– Jak sobie chcesz!

– Nie! – Maja wystąpiła krok w przód, zasłaniając inkwizytora. – Puść nas, ojcze, wolno i nikomu nie będzie krzywdy!

– Zatem masz mnie za głupca? Cóż, nic ci z tego nie przyjdzie!

Skalka spadła na panewkę z suchym trzaskiem, sypnęło iskrami... jednak strzał nie padł! Hedaard szarpnął pobladałą, zdrętwiałą z przerażenia dziewczynę za ramię, popchnął na worki za siebie.

– Skacz na dół!

Uderzył ogłupiałego Sulirada w twarz głowicą, bo było za ciasno na cięcie, kopniakiem zwałił ze schodów. Latarnia wypadła z ręki wójta, przewróciła się na bok, potoczyła i przygasła. Nie było czasu zastanawiać się nad tą szczęśliwą okolicznością, bo już cześnik nacierał z krótszym, poręczniejszym w ścisku pałaszem. Ostrze zawył tuż przed oczami inkwizytora, odłupało długą szczapę z belki podtrzymującej jętki. Hedaard cofnął się, z trudem odbijając kolejne cięcia, usłyszał sołtysa gramolącego się znowu na schody.

– Już po tobie, kurwi synu! – wycedził Dziwigor przez zaciśnięte zęby, kiedy zwarli się ponownie. Naparł na inkwizytora, klingi ze zgrzytem zjechały po sobie, zatrzymały na jelicach.

– Za dużo gadasz! – warknął Hedaard napinając mięśnie i uderzając cześnika czołem w twarz. Chrupnęła łamana kość nosowa, gęsto bluznęła krew. Dziwigor zwałił się na podest wprost pod nogi szarżującego niczym buhaj Sulirada, wbił w powietrze tumany zbożowego pyłu. Któryś z nich zawył dziko trafiając na gorącą obudowę latarni. Pojawił się płomień, szumiąc, w mgnieniu oka pomknął po deskach, jakby kto je posypał prochem. Hedaard kopniakiem posłał własną lampę w ślad za cześnikiem, poderwał z podłogi worek ze swą zdobyczą i skoczył w dół między belki. Wylądował nieco niezgrabnie, przekoziołkował i zatrzymał się tuż obok Mai wtulonej w nakryty płótnem wielki kosz z ziarnem. Zauważył lzy, wielkie jak czereśniowe pestki, dłonie kurczowo zaciśnięte na nodze. O nic nie pytał. Szybkim spojrzeniem obrzucił otoczenie. Do drzwi było za daleko, trzeba by zresztą ominąć wielkie żarna, przecisnąć się przez przekładnie i wstrzymujące mechanizm belki. Postawił dziewczynę na nogi, nie bacząc na wykrzywioną z bólu twarz, zerwał okrywający kosz materiał, narzucił na ramiona, osłonił twarz i skoczył, trzymając Maję wpół, w okno. W sam czas! Potężny wybuch rozsadził młyn, wyrzucając ich w powietrze niczym strzał z kolubryny. Cisnął po okolicy płonące deski i belki. Zawtórował mu zaraz huk pioruna, który trafił w iglicę świątynnej wieży, zamieniając na moment wieś w otchłanie piekielnych czeluści. Przez moment zdawało się, że na tym koniec, ale zaraz potem wieńczący wieżę stożkowaty hełm przechylił się w bok i runął, porywając za sobą kawał muru. Ziemia zadrżała od potwornego uderzenia i znow wszystko ucichło, tonąc w jednostajnym szumie słabnącego deszczu. Ze wszystkich stron pojawiły się płomienie, zajmując dachy i ściany pobliskich budynków, podsycane i rozrzucone przez podmuchy wiatru, Za nic sobie mając mokre dachówki i strzechy, rozpełzły się na dachy i ściany pobliskich budynków. Podsycane i

rozrzucone przez podmuchy wiatru, żarłocznie sięgnęły ku wysuszonym trzewiom domostw. Noc zamieniła się w ogniste pandemonium.

Epilog

Następnego dnia urządzili sobie popas w lesie, z dala od wiodącego do Lutnej traktu. Okazało się, że Maja zna całkiem nieźle okolicę. Bez trudu zatem przeprowadziła ich przez Żalnik Olbrzymów. Zapadli w leśne ostępy po zachodniej stronie rzeczki zwanej przez miejscowych Czernią, zatrzymując się dopiero koło południa, kiedy stracili z oczu dymy z Trzech Dębów. Obozowisko rozbili na piaszczystym brzegu zasilanego przez potok jeziora, na skraju matecznika.

Skradzione konie skubały leniwie soczystą zieleń. Niewystarczająco szybki bażant skwierczał przypiekając się nad trzaskającym wesoło ogniem, roztaczając wokół budzącą ślinę w ustach woń. Hedaard w samych spodniach siedział w cieniu pod drzewem wertując opasły wolumin, obracając od czasu do czasu sporządzony z patyka rożen. Maja wciąż taplała się w wodzie. Humor jej dopisywał od chwili, kiedy okazało się, że nogę ma ledwie skręconą. Wyszła w końcu na brzeg, usiadła w słońcu nie kłopotując się, by przywdziać odzienie. Wyglądałaby zaiste jak nimfa, gdyby nie liczne siniaki i zadrapania.

– Co zrobisz z tym złotem? – Tęciła stopą niewielki kuferek. – Sporo tego. W życiu tyle mamony nie widziałam.

– Połowę wydam, a druga połowa to twój posag.

– Poważnie pytam.

– A ja ci poważnie odpowiadam. – Pieczolowicie owinął księgę w płótno i odłożył na bok. – Dość mam bycia inkwizytorem. To co sobie założyłem zostało osiągnięte. Kościół jest w rozsypce, mnożą się różne kulty i herezje. Nie trzeba już ani trochę im pomagać podsycając nienawiść. Z taką ilością złota zaszyję się gdzieś i pohulam... parę lat. Może kupię jakieś księstwo? – Przesunął w ogniu na pół przepalone polano, odwrócił bażanta. – Druga zaś połowa, jak rzekłem, jest twoja.

– Ha, i co ja z nią zrobię?

– Nie wątpię, że coś wymyślisz. W tej kwestii kobieca fantazja nie zna granic.

– Mam bardziej na myśli, co zrobię w ogóle? Nigdy nie byłam dalej niż w Lutnej. Klasztor w Svednov jawił mi się miejscem na końcu świata. W myślach już układałam plany ucieczki. Nie wiem, jak bym sobie poradziła, gdyby mi się jakimś cudem udało?

– Jesteś lebską panną, Maju. Na pewno doskonale dałabyś sobie radę.

– Z pewnością, ale nie oszukuję się. Ten świat jest zdominowany przez mężczyzn. Pewnie poradziłabym sobie, ale musiałabym się kurwić, co napawa mnie niewysłowionym obrzydzeniem. Bo wystaw sobie, jeśli już mam się kurwić, wolę to robić z jednym mężczyzną, który na dodatek mi się podoba. – Jej spojrzenie stało się srogie, lodowate mimo upalnego popołudnia. – Jeszcze raz się zaśmiejesz, a dostaniesz w gębę!

– Już się nie śmieję... naprawdę!

Siedzieli chwilę w ciszy zasłuchani w szum wody, potem oboje parsknęli śmiechem.

– Powiedz mi, Hed – odezwała się Maja, kiedy uspokoiła oddech – na co ci właściwie ta księga?

– Dawno temu myślałem, że gdy ją zdobędę, ujawnię prawdę, wydając reprint w setkach egzemplarzy. Ale przecież nie potrzebowałem jej do niczego. Sam mogłem taką napisać, nawet lepszą. Komu tak naprawdę zależałoby dochodzić, czego to przedruk? Liczy się treść. W tę zaś można wierzyć lub nie. Wielu uwierzy w każde kłamstwo, jakie bym wydał drukiem, innych prawda nie przekona nawet gdyby to sam Jedyny się objawił i jej nauczał. Znalazłem zatem lepsze sposoby, żeby pokonać wroga niż przez prawdę...

– Po co ci w takim razie ta księga?

Hedaard uśmiechnął się kącikiem ust. Zdjął bażanta z rożna, ułożył na przygotowanym wcześniej płaskim kamieniu i zaczął zręcznie dzielić nożem.

– Szczerze? – zapytał oblizując palce z tłuszczu.

– Szczerze.

– Bo kolekcjonuję białe kruki.

Maja o mało się nie zadławiła.